Warszawa d. 28 Maja (9 Czerwca) 1878. № 23 Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcya i Ekspedycya główna: ulica Czysta № 415 (nowy № 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej."

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austryi, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskiem u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Dwa zamachy. — Andrzej Towiański (Wspomnienie) II.— Piękna, dramat w 4-ch aktach, Wł. Okońskiego. (ciąg dalszy). — Jubileusz Voltaire'a. — Z Wystawy Paryzkiej III. — Językoznawstwo porównawcze wobec nauk historycznych. — W imieniu dzieci. — Z prowincyi VIII. — Polemika.— Kronika Powszechna. — Przegląd Polityczny. — Wiadomości handlowe. — Do wszystkich. — Echa XXIII.

DWA ZAMACHY.

Gdy przed paru tygodniami telegraf przyniósł wiadomość o zamachu na życie cesarza niemieckiego, nie wiele brakło, ażeby cały ten wypadek uznać za dzieło jakiegoś niedorzecznego wyskoku lub nawet za niezręczną komedyę. Bo co myśleć o czynie wykonanym z głupowatą niezdarnością, nieusprawiedliwionym ani żadnemi widocznemi zmianami w politycznem życiu Niemiec, ani poważnemi motywami w zeznaniu podsądnego? Do cesarza, który, chociaż jest najwyższym przedstawicielem swego rządu i sankcyonuje jego działania, ale nie jest wcale w obecnym ustroju państwa niemieckiego prawodawczą siłą, strzela człowiek, który niby mianuje się członkiem pewnej partyi, lecz nie ma od niej żadnego mandatu i w niej żadnego znaczenia — czy podobna zdrową logiką zamach ten zrozumieć? Jeżeli go popełnił istotnie socyalista, czemu sięgnął po życie tego, od którego losy socyalistów bardzo mało zależą? jaką chciał pomścić własną lub cudzą krzywdę? czego zamierzał dokonać w narodzie, którego znaczna większość istniejący tron wszystkiemi siłami podpiera? Nie wiadomo; wiadomo tylko, że ktoś, nazwiskiem Hödel, strzelił do niemieckiego cesarza. Po za tym zagadkowym, wyosobnionym faktem niepodobna dopatrzyć żadnej nici, któraby go z dalszemi stosunkami wiązała. Bo że odkryto kilka również nieznacznych figur, którym winowajca mógł się z zamiaru swego zwierzać—cóż to wszystko znaczy wobec zuchwałego pokuszenia? Historya znała dotąd tylko królobójców popchniętych do działania albo pragnieniem osobistej zemsty, albo interesami zbiorowego sprzysiężenia; tymczasem tu widzimy jakiś skok, który żadnym z tych dwu względów wytłómaczyć się nie da. Przypuściwszy nawet, że ów Hödel jest jakimś nieznanym luzakiem socyalistycznego szeregu, że w jego imieniu chciał wywrócić tron a natomiast postawić republikańskie krzesło—czy taki plan w monarchicznych nawskróś Niemczech nie równałby się najniedorzeczniejszemu pomysłowi? I cóż z tego, gdyby cesarz Wilhem był padł ugodzony kulą, cóż z tego, że socyaliści obwoływaliby zmianę formy rządu, dopókiby nie nadbiegł najbliższy oddział wojska? Alboż to dosyć dla rozerwania żelaznych wiązadeł niemieckiej monarchii?

Jeszcze pytania te nie przestały nam się wysnuwać, gdy nagle przybywa doniesienie, że do cesarza Wilhelma strzelono po raz drugi i ugodzono go obfitym śrutowym nabojem. Złapany winowajca, dr. Nobiling, ma być także socyalnym demokratą. Co teraz myśleć? Czyżby ta partya rzeczywiście postanowiła osiągnąć swoje cele drogą politycznych zamachów na życie panującego? Cóż w takim razie znaczyło wyparcie się podobnego zamiaru urzędowych jej przedstawicieli? Byłoż ono jedynie maską bezpieczeństwa w chwili niepowodzenia? Jeżeli wieści nie kłamią, Nobiling oświadczył, że jest narzędziem szerokiego spisku. Jakiego? na jakich opartego nadziejach? na jakiem prawdopodobieństwie? Zaiste, można się zgubić w tych pytaniach bez końca, na które trzeźwy rozum nie da żadnej odpowiedzi. Stojemy więc chyba wobec faktu, dla którego trzeba dorobić lub odkryć specyalne prawidła rozumowania. Po najpilniejszym rozbiorze warunków tego fenomenu, trudno odnaleść najlżejszy znak wyjaśnienia. Zapewnie, stronnictwo socyalno-demokratyczne w Niemczech tak się rozrosło, tyle skutkiem walk namiętności w sobie rozżarzyło, że jego rewolucyjne pokuszenia nie stanowiłyby i nie stanowią żadnej niespodzianki. Licząc wszakże nawet całą jego gwałtowność, trudno pojąć racyę owej upartej strzelaniny. Bądź co bądź, partya ta ma przecież w swem łonie i na swem czele ludzi dojrzałych, rozważnych, do politycznego boju zaprawionych, którzy nie wyglądają na wieszających się bez celu i skutku dzieciaków. Zkądże więc pod ich chorągwią wzięli się dwaj zapaleńcy, którzy prócz własnej zguby niczego nie osiągnęli?

Pozostaje jedna tylko możliwość: jeżeli zarówno Hödel, jak Nobiling są rzeczywiście wylosowanymi z jakiegoś szerszego koła spiskowcami, to według wszelkiego prawdopodobieństwa koło to stoi po za granicami wszystkich jawnych stronnictw politycznych, a więc nie wchodzi i w skład socyalno-demokratycznego. Musi ono być zbiorem ludzi, niemających w społecznym ustroju Niemiec żadnej uprawnionej podstawy, żadnego programu, opartego na istotnych interesach narodu. Złożone z ludzi, oderwanych od życia politycznego i nieprzyjmujących w niem czynnego udziału, usnuło w swem łonie gardzące rzeczywistością marzenia, które w ciemnościach spisku zdają się posiadać wszelkie warunki ścisłej rachuby, a w zastosowaniu zdradzają wszystkie wady szaleństwa. W państwach, nurtowanych socyalnemi prądami, utopia zawsze sobie ściele tego rodzaju na śmierć skazane gniazda. W Niemczech są one liczniejsze, niż gdziekolwiekbądź. Otóż dwoje ślepych piskląt takiego gniazda wyleciało i rozbiło się o tron niemieckiego państwa. Że je ochrzczono mianem socyalnej demokracyi, nic dziwnego; powszechna bowiem opinia zwykle dla określenia przestępnego czynu łapie nazwę najnienawistniejszego sobie żywiołu i przyczepia ją do tych, którzy z zaimprowizowanym tytułem nic albo niewiele mają wspólnego. Jesteśmy przekonani, że gdyby teraz ponowiło się sto podobnych zamachów, pierwsza wieść wszystkie wpisałaby na rachunek socyalistów. Alboż nie patrzymy ciągle, jak najrozmaitsze objawy ścigane są pod imieniem mataryalizmu lub nihilizmu?

Tak czy inaczej, rozjaśnienie sprawy dwu pokuszeń na życie cesarza niemieckiego słusznie budzi wielkie zajęcie i może odsłoni nam tajemnicą zakryty spisek, który je przygotował.

ANDRZEJ TOWIAŃSKI.

(Wspomnienie).

II.

Z listów i przemówień „Mistrza" widać że teorya magnetyzmu zwierzęcego była mu znaną; że „jasnowidztwo", które stronnicy Mesmera uważają za jedyny wyraz prawdziwej mądrości, przyjął Andrzej w zasadzie i uświęcił; ale pomimo to nigdy on o samej doktrynie sądu pochlebnego nie wydaje, owszem na każdym kroku stara się wykazać swą w obec niej przeciwbiegunowość. „Są, mówi, *środki poruszenia ducha*, do których nie powinniśmy się uciekać; naprzykład *magnetyzm*, pijaństwo, *egzaltowanie się nerwowe*—są to środki nieprawe" [1]).

[1]) *Współudział Ad. Mick.*—tom II, str. 206, *(Z rozmów z Sew. Goszczyńskim)*.

Byłby jednak w błędzie ten, ktoby wierząc słowu „proroka" sądził, iż nauka jego nie ma związku z „magnetyzmem" i „egzaltowaniem się nerwowem". Potępia on w istocie sam wyraz, potępia pozór naturalistyczny, jako niegodny „wyzwolonych duchów"; lecz to mu nie przeszkadza zgoła przez stopniowane „tony" i „drgnięcia" dążyć pomacku do tego samego źródła bezpośredniej wiedzy. Drogi nawet wiodące do celu są tu i tam bardzo do siebie podobne. Zamiast przeciągania rąk po nad skórą wyznawcy, używa towianizm t. z. „rozkazów", „pojedynków", „postów duchowych", które pomimo swego *moralnego* zawiązku, utożsamiają się prędzej lub później z czysto *nerwowemi* wzruszeniami.

Taki dwulicowy stosunek teoryi Mistrza Andrzeja do magnetyzmu zwierzęcego z łatwością da się wyjaśnić.

Gdy wspomniany przez nas J. Baudouin wydał w Warszawie około 1820 r. swój *Rzut oka na mesmeryzm* i *Głębsze uważanie mesmeryzmu*, wystąpił przeciw niemu w bezimiennej broszurce (*Tłomaczenie tajemnic nowej wiary*, Warsz. 1822) słynny walecznik papiezkiego obozu, ksiądz Surowiecki. Charakterystyczną cechą namiętnej ramoty „chrześciańsko-katolickiego religianta" jest między innemi to, że ośmieszając wszelkim możliwym sposobem *cuda* jasnowidztwa mesmerowskiego, broni w tejże książce od napaści i wynosi pod niebiosa — lekarskie *cuda*, jakiemi się współcześnie popisywał w Würtzburgu, Wiedniu i innych miejscach, młody książę Hohenlohe, prałat z Ołomuńca. Spytacie może czytelnicy, dla czego pobożna praktyka supernaturalizmu raz ściągała na siebie gromy, drugi raz błogosławieństwo szanownego kapłana? Oto dla tej drobnej napozór przyczyny, że choć skutek był podobny, mesmeryści nie tego samego i nie w tejże formie, co książę Hohenlohe, używali zaklęcia...

Bądź co bądź Towiański, który oddawna już rozmyślał nad... „ćwiekami do gontów", i kąpiąc się w krynicznym potoku nadprzyrodzonej prawdy, odbywał właśnie cichą a mozolną aplikacyę na Mesyasza, wiedział niechybnie o tych, co jak książę Hohenlohe— dla zbawienia rodzaju ludzkiego unosili ogień boży z nieba. Musiały go zresztą zarówno publikacye Baudouina, jak i polemiczne uwagi przeciwników tembardziej współcześnie interesować, że sam około 1820 r. napisał podobno [1]) jakiś „na temat wizyonerski" artykuł, który niebawem jedno z pism wileńskich w łamach swoich pomieściło. Jaki mógł mieć Andrzej wówczas pogląd na tak zwane cuda, określić się nie odważę; domyślam się jednak, że pielęgnował już w owej chwili myśl sprowadzenia „królestwa bożego" na ziemię; że dążył do znaturalizowania, zaszczepienia na naszej planecie wszelkich natchnień, zachwytów i czynów niebiańskich. We dwadzieścia lat później (1843 r.), zostawszy sam uznanym przez swą rzeszę cudotwórcą, wypowiedział o tym przedmiocie w poufnej rozmowie z Sewerynem Goszczyńskim zdań kilka, które przynoszą Andrzejowi zaszczyt, a dla nas obojętnych są niby kroplą czystej myśli, wyciekającą z mistycznych mętów. „Wszystko (powiada) jest naturalne, tylko nie zawsze i nie wszyscy jednakowo widzimy. Ja widzę tyle ręki, ktoś inny widzi jej większą część; *więcej* jest dla mnie cudem. Ktoś z mego okna nie widzi tylko ten horyzont; ja widzę dalej i powiadam, że za tym horyzontem jest jeszcze inny, którego ztąd nie widać; on temu nie wierzy, lub uwierzywszy woła, że to cud. Jestże to cud?—a tem samem są wszystkie cuda". Nie łudźmy się jednak temi słowy: uważajmy je raczej za wyjątkowe, niż charakteryzujące kierunek siły umysłowej Mistrza; sądy bowiem trzeźwe, w trzeźwą, ludzką przybrane szatę, należą do rzadkich osobliwości i stanowią niejako dyssonans w ogłoszonych dotąd przemówieniach Towiańskiego.

Ztąd wszakże nie wynika, aby sny, widzenia, słowem halucynacye, których uprawie Andrzej zdawna się poświęcał, nie miały kiedy niekiedy *przypadkiem* dodatniego w praktyce znaczenia... W r. 1830 czy 31 doznał T. snu jakiegoś cudownego, w którym objawiła mu się Matka Bozka, i odkrywszy zawczasu przyszłe, opłakane skutki polskiej zawieruchy, kazała strzedz pokoju, oraz współziomków do naśladowania zachęcać. Pod tę samą dobę, czy w kilka lat później, udało się podobno Towiańskiemu uleczyć z zagadkowej choroby [2]) jakąś bogatą w Litwie dziedziczkę, na którą „Bóg zesłał" fizyczne cierpienia za to, że kmiotków, swych poddanych i ojciec jej i ona bez miłosierdzia pańszczyzną nękali. Gdy ani porady najznakomitszych lekarzy, ani składanie ofiar na kościoły nic nie pomogło, T. przyjeżdża do niej i powiada: „jeden jest sposób, abyś uwolniła od cierpień i siebie *i ojca* (który już nie żył): wynagródź" krzywdy zrządzone. „Poczuła ona prawdę i zrobiła w tej chwili ślub, że jak tylko *sprawa* (t. j. posłannictwo Mistrza) objawi się, wynagrodzi wszystkich swoich włościan zupełną restytucyą. I natychmiast zaczęła przychodzić do siebie, odzyskała spokój ducha, trupia bladość zeszła z jej twarzy".

Wszystkie podobne dane, wymykające się już dzisiaj z pod skalpelu sumiennej analizy, tłomaczą wyraźnie, że T., jak wszelki zresztą szczery uprawiacz supernaturalizmu, już między 1830 a 1841 r., to jest przed jawnem wystąpieniem w roli Mesyasza—czuł praktyczną niedostateczność religijnych dogmatów i odstawał w swych marzeniach od związku z kościołem rzymsko-katolickim. Nie umiał on sobie jednak wyrobić właściwego kierunku, i obrawszy jakąś ścieżynę pośrednią między religią a wiedzą, dowiódł tylko, że jest czułą harfą Eola, na której wichry współczesne grają. Ogólny prąd wieku, w którym filozofowie i marzyciele dążyli do rozwiązania najwyższych zadań przez czysty rozum (idealizm Heglowski) lub czyste uczucie (mistycyzm właściwy Jakobiemu, Szelingowi i t. p.), uniósł na swej fali i naszego niedouczka. Zaglądał więc do ksiąg teologicznych, odbywał wycieczki dalekie z kabalistami i mesmerystami, modlił się i na nędzę ludzką patrzał, a w chwilach wolnych od ziemskich zatrudnień i ascetyczno-filantropijnej pracy, odczytywał z wielką, jak się zdaje, pilnością, wieszcze utwory wodza „szkoły litewskiej", Adama Mickiewicza.

O ile zresztą nam wiadomo, nie ograniczał się Andrzej na miejscowych źródłach nauki mistycznej. Był nawet pod ową porę (około r. 1840) w ścisłych stosunkach ze słynnym kabalistą żydem Albrechtem, który za swe przepowiednie w r. 1834 uległ w Saksonii karze więziennej, a następnie uwolniony szerzył swą ewangelię we Francyi.

Przyszła wreszcie chwila, w której T., otrzymawszy natchnienie „z góry" poczuł, że ma się już ogłosić Mesyaszem, tłomaczem tajemnic i *pokornym* zbawcą ludzkości. Pier-

[1]) Patrz: *Mesyanizm i towianizm*, przez Cz. Pieniążka — *Tydzień* za r. 1876.

[2]) Cechą tej choroby zewnętrzną miała być jakaś „trupia bladość twarzy," a źródła nikt nie mógł dociec. (Patrz: *Rozmowy z Goszczyńskim*).

ECHA WARSZAWSKIE.

XXIII.

W obecnym roku prowincya obdarzyła nas liczniejszą niż kiedykolwiek gromadką wędrownych kapłanów i pachołków Melpomeny, którzy raźno i ochoczo prowadzą już swoje rzemiosło. Niektóre nawet z pięciu istniejących teatrzyków myślą o tem aby naprawdę zasłużyć na nazwę teatru i dotychczas pod względem repertuaru wcale poważnie sobie poczynają. Wszystkie zaś razem, jakby na umówionego, rozpoczęły w tym roku swoje przedstawienia uwerturą z utworów Blizińskiego, który może się uważać za arcy szczęśliwego dramaturga, gdyż tak szybko i łatwo zbiera należny swemu talentowi procent uznania.

Ostatnią jego komedyę „Mąż od biedy" widzieliśmy już w czterech edycyach scenicznych, z których pierwszą wykonali amatorowie, a piątej oczekujemy wkrótce na deskach teatru letniego.

Z pomiędzy wszystkich dotąd towarzystw dramatycznych wyróżnia się szczęśliwie teatr z Poznania, zostający pod dyrekcyą p. Doroszyńskiego, który jak na towarzystwo prowincyonalne potrafił istotnie zgromadzić dobór sił wybitniejszych, z któremi może nawet wykonywać utwory poważniejszego zakroju. Zacząwszy przedstawienia „Panem Damazym" trupa poznańska wystawiła następnie „Dorę," jeden z najnowszych komedyo-dramatów Wiktoryna Sardou, świeżo zaszczyconego patentem akademickiej wielkości.

Utwór ten bardzo efektowny i zajmujący dla przeciętnych słuchaczy, trzymany nawet w stylu dobrego tonu, pod względem artystycznym jest jedną z tych kunsztownych łamigłówek, w których autor wysila się aby stworzyć o ile można najbardziej wyszukane motywa i intrygi, i przeprowadzić je przez cały szereg najbardziej niespodziewanych i sztucznych zawikłań.

Rodzaj ten stworzony przez Scribe'go, który był mistrzem w budowaniu takich sztucznych mechanizmów, znał wszystkie tajemnice i środeczki podniecające ciekawość widza, znalazł w autorze „Naszych najserdeczniejszych" niedoścignionego mistrza, który jednak oparł go na gruncie bardziej realnej prawdy, przedstawianej co prawda niezbyt głęboko, ale zręcznie wyzyskanej na korzyść poetycznego efektu.

W tej nerwowo zaciekawiającej sztuce, autor istotnie wybrał sobie przedmiot wcale oryginalny, t. j. polityczne szpiegostwo wykonywane przez... kobietę. Osobistość tego rodzaju znalazł autor w tych mętnych sferach życia paryzkiego, w których znajduje dla siebie pole do działania cały stek awanturnic i karyerowiczów zbiegających się z różnych krańców świata dla łowienia rybek w mętnej wodzie. Czarnym charakterem wprawiającym tutaj w ruch intrygę, jest jedna z awanturnic, zostająca tajemnie na żołdzie zagranicznego dyplomatycznego agenta. Powodowana uczuciem zemsty i zazdrości a przywykła do pokątnych matactw urządza ona piekielną intrygę, w skutek której rzuca podejrzenie szpiegostwa na szczęśliwszą od siebie rywalkę a główną bohaterkę komedyi. Pozory składają się tak fatalnie, że intryga ta kruszy szczęście młodej pary w pierwszym dniu zamężcia, prowadzi do bardzo dramatycznych zawikłań, aż nareszcie tajemna jej sprawczyni zostaje wykrytą po zapachu piżma, które jej ręka zostawiła szperając w papierach. Rozwiązanie to jest już nadto wyrafinowaną sztuczką; cała zresztą budowa komedyi opiera się na podobnych wiązaniach w wysokim stopniu zręcznych, ale wyrafinowanych i naciągniętych do ostateczności. Jednem słowem jest to, pomimo wielu przymiotów literackich, sztuka przeważnie kassowa i efektowa, obliczona na sensacyę, wprawdzie nie wywołaną środkami grube-

wszymi, co uznali szczytne posłannictwo „radzcy sądowego" [1]), byli: nieodstępny później towarzysz, doktor medycyny a szwagier Andrzeja Ferdynand Gut i malarz Walenty Wańkowicz — obaj odznaczający się krańcową skłonnością do teologiczno-socyalnego marzycielstwa.

W r. 1837 odwiedził Towiański Poznań, gdzie miewał rozmowy z arcybiskupem Duninem, pragnąc go pozyskać dla swych idei; ale zarówno tu, jak niebawem w Brukselli u generała Skrzyneckiego wzgardzonem zostało boskie posłannictwo mistrza. Nie zraziło to jednak natchnionego męża. Przy schyłku czerwca r. 1840, otrzymawszy paszport do Austryi i Niemiec [2]), opuścił kraj wraz z całą rodziną, a pod koniec roku ukazał się w Paryżu. Nie mógł w istocie Andrzej lepszego wybrać gruntu dla swej słonecznej latorośli. Francya była podówczas prawdziwą ojczyzną nowych Chrystusów, klasyczną ziemią różnych odcieni mesyanizmu. Oprócz przybyłego z Saksonii Albrechta, głosił tu z wielkiem powodzeniem od 1831 r. swą religijną w duchu przeważnie aryańskim naukę założyciel kościoła narodowego („l'Eglise catholique française") Châtel, który skupiwszy dokoła siebie bardzo poważną liczebnie gromadkę, przyjął był nawet tytuł „prymasa Galii". Współcześnie prawie wystąpił Helsen belgijczyk z nowym projektem katolicko-apostolskiego kościoła, a później cokolwiek Glouton, który nieukrywając zgoła swych mesyaszowych uroszczeń, podpisywał się poprostu „Christ du second avénement" (Chrystus drugiego przyjścia). W najbliższych jednak, bo bezpośrednich stosunkach z towianizmem zostawał niejaki Piotr Michał (Pièrre-Michel), głowa sekty mesyanistyczno.socyalnej, noszącej miano *l'Oeuvre de la miséricorde*. Pobożne „to zgromadzenie wierzyło (jak donosi Andrzejowi w listopadzie 1842 r. Mickiewicz), iż wielka odmiana świat wstrząśnie i poprawi, a narzędziem zbawienia politycznego dla Francuzów będzie mniemany syn Ludwika XVI, książę Normandyi przebywający w Londynie pod imieniem Naundorfa..." Obok innych cech wspólnych, powołanie żydów do ważnej roli w sprawie odrodzenia ludzkości było u Pièrre-Michela, podobnie jak u Towiańskiego, integralną cząstką planu. Zwrócić w końcu trzeba uwagę i na to, że uwydatniająca się w kołach rządowych od chwili upadku Napoleona religijno-polityczna reakcya wywoływała prawem konieczności rozwój reformatorskich idei, które pod różnemi nazwami — socyalizmu, komunizmu, Saint-Simonizmu, Fourieryzmu—zalewały wraz z sektami religijnemi kraj cały, przenikając powoli do innych europejskich społeczeństw. Niepodobna też przemilczeć, że na gruncie francuzkim ukazała się po raz pierwszy owa właściwa duchowi polskiemu zagadka, sfinks religijno-polityczny, blade dziecię niemieckiego idealizmu i ogrzanych na sercu proroctw hebrajskich,—*mesyanizm*. Człowiekiem, który przed innymi odwieczny temat marzeń Izraela w filozoficzną ubrał sukienkę, był ziomek nasz z Poznańskiego, Hoene (pseudonim *Wroński)*. Już w r. 1818 wystąpił on w Paryżu z pismem *Le Sphynx*, któreby można uważać za zwiastuna rozwiniętych później teoryj; napisane zaś przez niego i wydane w r. 1831 dzieło *Messianisme* stało się wkrótce wzorem dla prozaicznych i wierszowanych w tym duchu robót bardzo licznej polskiej rzeszy. Floryan Bochwic, Ludwik Królikowski, Henryk Cieszkowski, Zygmunt Krasiński, J. B. Zaleski, Wincenty Pol—że pominiemy wielu innych—dopatrują się pochodu bożego i teologicznej celowości w dziejach, a na społeczeństwo własne poglądają jak na lud Chrystusowy. Emigracya była główną tych myśli piastunką; towianizm — szczególnym tylko, plastycznym ich objawem.

[1]) T. piastował pod koniec swej *ziemskiej* karyery urząd „radzcy pierwszego departamentu sądu głów." („Засѣдатель перваго департамента главнаго суда").

[2]) *Współudział Ad. M.*, t. II, str. 119 (przypisek).

PIĘKNA.

Dramat w 4-ch aktach.

Wł. Okońskiego.

SCENA III.

Ciż, JANUSZ i ZYGMUNT.

JANUSZ (*który z daleka obserwował Emilię i Ryszarda, prowadząc ku nim pod rękę Zygmunta*).

Nie słyszałem...

ZYGMUNT.

Tak jest. Zaduszoną żyrafę objada naprzód lew, po nim szakal, po nim lis, sęp, hyena, a w końcu robactwo. Uważasz pan, jak się nawet tu uwydatniają stopnie zwierzęcego dostojeństwa.

JANUSZ.

Zupełnie jak u ludzi... Kobietę naprzód bałamuci lew...

ZYGMUNT (*śmiejąc się*).

Nadużywasz hrabio podobieństwa. Stosunki zwierzęce nie zawsze powtarzają się w ludzkich. Pewien uczony bardzo słusznie powiedział, że całe zwierzę mieści się w człowieku, ale nie cały człowiek w zwierzęciu. Najwymowniejszym tego dowodem są nasze związki miłosne.

JANUSZ.

Nie sądziłem.

ZYGMUNT (*zbliżywszy się już do Ryszarda i Emilii*)

Bezwątpienia. Między zwierzętami związki te utrzymują się tylko siłą zmysłowego gustu, między nami siłą duchowego obowiązku. One nie rozrywają swej pary tylko póty, póki z obu stron ją spaja uczucie estetyczne, my — póki jej nie rozluźni moralne. Mamy daleko mniej niższych instynktów, niż nam lekceważąca ludzi a szanująca zwierzęta szkoła naturalistów przyznaje. Co oni mówią o małżeńskiej wierności gołębiów, bocianów i t. d., to może sobie być prawdą, ale zarazem jest takimże wyjątkiem wśród zwierząt, jak niewierność małżeńska wśród ludzi. Dość dla uwierzenia w to przepędzić kilka godzin w zoologicznym ogrodzie. Piękna samiczka w każdym niemal gatunku jest przedmiotem tak licznych i natrętnych zalotów, że chociażby pierwiastkowo najbardziej przywiązaną była do swego stałego towarzysza, zbałamucona w końcu mu się przeniewierza. Dawniej nie przypuszczałem, ażeby wrażenia urody wywierały tak potężny wpływ na życie zwierząt: dziś wszakże jestem przekonany, że wpływ ten może w nich przy większem natężeniu zagłuszyć wszystkie popędy obyczajowe. Piękna łasiczka, którą tu w ogrodzie z dwuletnim małżonkiem i trzema jej wielbicielami chowam, już go na korzyść jednego lada dzień zdradzi. Ani razu nie zdarzyło mi się, ażeby jakakolwiek bohaterka zwierzęca podobną próbę mężnie wytrzymała. Tymczasem u ludzi, chociaż dobry ich znawca, Zenon inaczej twierdzi, widujemy wszyscy mnóstwo pięknych kobiet, które najsilniejszym pokusom się opierają. (*do Emilii*) Tak moja piękna?

---

mi i drastycznemi, ale polegającą głównie na efektach bardziej zawiłych i misternych. W wykonywaniu tej sztuki wykazali swe zdolności sceniczne panie Marcello i Siennicka, panowie Woliński i Roman, tak że stosunkowo do zasobów sztuki prowincyonalnej trupa poznańska spełniła swoje zadanie wcale pomyślnie. Wartoby tylko w niektórych aktach pomyśleć o nieco staranniejszej wystawie, która ze względu na sferę towarzyską, służącą za tło akcyi sztuki, była zbyt niedostateczną. Tę samą sztukę z mniejszem jednak powodzeniem przedstawiło w Belle-vue towarzystwo pana Teksla, które później odśpiewało operetkę Straussowską „Fantaska."

W Eldorado, gdzie do niedawnego czasu brzmiały swawolne szansonetki francuzkich kawiarniowych śpiewaczek, kwitł rozpasany kankan niemieckich baletniczek i produkcye mistrzów wyłamanej sztuki, obecnie wyszykował się teatrzyk, którego zacna powierzchowność świadczy, iż pragnie być odwiedzanym przez publikę wybredniejszego gustu, co zapewne nie w smak pójdzie pewnej wesolutkiej części publiki— która uczęszczała tam w rolach niekoniecznie mających wspólność ze sztuką dramatyczną a pośrednio tylko łączność z sąsiadującą obok niej gastronomią. W tak wyeleganowanej siedzibie popisują się obecnie niektórzy aktorowie teatru lwowskiego. Na teatrzyku tym przedstawiono po raz pierwszy jedną z najbardziej en vogue będących nowości scenicznych, francuzką komedyę pana Henneguin i Najac pt. „Lolo" (Bébé). Jestto niezbyt mądra, trochę tłusta i pieprzna, ale za to arcy zabawna farsa, osnuta na wybrykach pieszczonego przez rodzicielską parę paniczyka, który zamiast mozolić się nad prawem, studiuje... piękne kobietki. Chociaż w istocie atmosfera moralna tej sztuki nie jest zbyt pachnąca, jednakże można się z niej uśmiać do rozpuku, byle ją tylko zagrać z werwą i zamaszystością, co się nie wszystkim eldoradowym udało, z których na wyróżnienie zasłużyli państwo Linkowscy, Kwiecińscy i pani Zimayer. Czwarty posterunek zajęła w Arkadyi trupa p. Filleborna, która także przeważnie poświęca się lekko-śpiewnej operecie, a najskromniejsze stanowisko zajęło towarzystwo p. Dębskiego w Alkazarze, które składa się przeważnie z demokratycznych odłamów sztuki prowincyonalnej. W dotychczasowej działalności najpiękniejszą zasługę położyły towarzystwa pana Doroszyńskiego i p. Terenkoczego, ponieważ zaprezentowały nam dotąd dość... ładnych kobiet. Gdyby to dramat warszawski chciał okrasić swój personel kilkoma jeszcze tak ładnemi towarzyszkami!

. . . . . .

Na gościnności czasem dobrze się wychodzi.

Świadczy o tem opera miejscowa, która obecnie zaczęła znów budzić interes z powodu wystąpień p. Zakrzewskiego, pierwszego tenora lwowskiej sceny, który przez letnie miesiące ma dźwigać na swych barkach ciężar wszystkich głównych tenorowych partycyj. Szczęściem, do takiej pracy p. Zakrzewski posiada w płucach i krtani odpowiednią siłę a zwłaszcza wytrzymałość, której się bardzo dziwią specyalni znawcy tajemnic śpiewaczych. Organ p. Zakrzewskiego nie posiada wielkiej pełności brzmienia, ale dźwięk ma wcale przyjemny, skalę bardzo obszerną, gdyż śpiewak z wielką łatwością bierze otwartym głosem najwyższe nuty tenorowego rejestru, któremi imponuje publiczności naszej, lubiącej dosadne efekta.

Pod względem umiejętności śpiewu p. Zakrzewski pomimo pewnego wyrobienia i artystycznego smaku, nie może się jednak poszczycić prawdziwie wysoką szkołą. Posiada on jednak niepospolite artystyczne poczucie, frazuje efektownie i bardzo pięknie używa *mezza voce*. Wykonaniem partyi Lonela w Marcie zjednał sobie p. Zakrzewski niewątpliwie uznanie i sympatyę publiczności i dowiódł, że może być bardzo uży-

EMILIA (*zmięszana*).

Ja się na tem nie znam.

ZYGMUNT (*wesoło*).

Co znowu?... Nie znasz się na usposobieniach i zwyczajach swojej płci?

EMILIA (*zalotnie*).

Przecież moja płeć do zoologii nie należy...

ZYGMUNT.

Należy, kochanko, ale nie o to nam idzie.

EMILIA (*pieszcząc męża*).

Niegrzeczny jesteś. Chociażby dla mnie, nie powinieneś kobiet porównywać z jakiemiś tam samiczkami.

ZYGMUNT.

Źle moje słowa zrozumiałaś: właśnie że was od nich odróżniam.

EMILIA (*j. w.*)

Nie powinieneś nawet takich zestawień robić, jeżeli mnie kochasz. Czy ja, kochając ciebie, mówiłam kiedykolwiek o wyższości mężczyzn nad wilkami lub jeleniami?

ZYGMUNT.

Owszem, mów, może się czegoś ciekawego dowiem.

EMILIA (*j. w.*).

Przeproś mnie i pocałuj... (*Zygmunt, całując ją, szepcze z rozjaśnioną twarzą*)

JANUSZ (*który się zbliżył do stojącego na boku Ryszarda — półgłosem*).

Czy tego widoku ci jeszcze nie dosyć, żeby od niej odstąpić?

RYSZARD (*lekceważąco*).

Zkąd ojciec już dziś sądzić może, kiedy się od kobiety odstępuje...

ZYGMUNT (*głośno*).

Na wszystko zgoda... (*całuje Emilię i odwraca się do hrabiów*) Jak panowie widzicie, żona moja ogród botaniczny zmieni powoli na miłosny. (*do Janusza*) Uciekajmy hrabio do naszego oddziału, bo piękna kobieta jest najgorszym warunkiem poważnego myślenia. (*Do Ryszarda*) Niech ją pan raczy zdala ode mnie trzymać.

RYSZARD.

Postaram się. (*do Emilii*) Proszę to zlecenie zauważyć.

ZYGMUNT (*odchodząc z Januszem w głąb sceny*).

Między żeńskim więc rodzajem zwierząt i ludzi...

SCENA IV.

EMILIA i RYSZARD.

EMILIA (*niechętnie*).

Ach! znowu swoje...

RYSZARD (*z uśmiechem*).

Kogo pani woli: uczonego męża, czy grzecznego człowieka?

EMILIA.

Męża mojego, który jest grzecznym człowiekiem.

RYSZARD.

O ile nim uczony być może. Każda prawda jest zawsze dla kogoś lub czegoś ubliżeniem, a mąż pani tylko o prawdy się stara, bez względu na to...

EMILIA (*badawczo*).

Pan więc przede mną tylko nieprawdę mówisz?

RYSZARD.

Muszę, na wyraźne żądanie pani.

EMILIA.

Alboż mogę tego nie żądać, jeśli każda pańska prawda byłaby dla mnie ubliżeniem?

RYSZARD.

Jakże pani okrutnie zużytkowała moją, jak teraz widzę, nieopatrzną uwagę. Odwołuję ją w całości, a przynajmniej o tyle, o ile mnie i pani dotyczy, a na jej miejsce zrobię inną. (*po namyśle*) Do każdej ludzkiej istoty właściwie tylko w jeden sposób przemówić można, do pani...

EMILIA (*zalękniona*).

Do mnie — nie mów pan w ten sposób.

RYSZARD (*z zapałem*).

Kto panią nauczył tego niemiłosierdzia? Czy godzi się piękności być surową, w łaskach oszczędną, na pragnienia cierpiącego serca nieczułą?

EMILIA (*tonem prośby*).

Nie, hrabio... Ryszardzie... nie mów pan tak. Pańskie słowa gorączkują, ogarniają niepokojem... wiążą i trwożą. (*weselej*) A pan mnie chyba zatrwożyć nie chcesz.

RYSZARD (*czule*).

Zkąd ta myśl! Ja chcę tylko poznajomić panią z temi przywilejami wyjątkowego życia, które się pani słusznie należą. (*wskazując*) Jak tej wyniosłej topoli wolno po nad wierzchołkami innych drzew szerzej od nich po świecie się rozglądać, a tej cudownej kamelii więcej niż innym kwiatom spojrzeń na siebie ściągać, tak wolno pani swobodniej niż innym kobietom przyjemności wybierać. Komu natura dała najwspanialsze swoje wdzięki, temu dała najrozleglejsze pozwolenie nieograniczonego ich użycia. Piękna kobieta nie na to jest piękną, ażeby ulegała losowi brzydkiej; bo na co miałaby od niej być różną? Pani, ja nietylko się bawię, ale często także myślę i bardzo poważnie myślę; tych więc wyrazów bez zastanowienia nie rzucam.

EMILIA.

Wątpię, czy zastanowiłeś się pan nad tem, że obowiązki...

RYSZARD.

Są dla masy, ale nie dla tych istot, które, oprócz wspólnego rodzaju, nie mają z nią nic pokrewnego. Surowa moralność względem kobiet pięknych jest tylko łaskawą grzecznością względem brzydkich. Uciskiem pierwszych wynagrodzono upokorzenie ostatnim. Ponieważ nikt nie pożąda jednych, więc każdemu zabroniono pożądać drugich; ponieważ tamtych żaden mężczyzna o niezależną miłość nie pyta, więc tym nie wolno na niezależną miłość odpowiadać. Jest to protegowanie brzydoty kosztem piękności. Taka niesprawiedliwość jednakże może ciemiężyć te tylko kobiety, które jej nie dostrzegły. Pani zaś ją chyba widzi...

EMILIA (*smutnie*).

Dotąd czułam w życiu tylko zadowolenie, a pan mi każesz czuć tylko krzywdę. Czy to się godzi?

RYSZARD (*z zapałem*).

Czy godzi się przekonywać panią, że jesteś królową swojego rodu i że ci w nim służy największa swoboda, jaką kobieta rozporządzać może? Boże mój, dziwić się tylko trzeba niebu i ziemi, że pani o tem ciągle nie mówią!

EMILIA (*nieśmiało*).

Panie Ryszardzie, dla czego mnie to nie rozwesela, tylko rozstraja? Dla czego im bardziej mnie pan uspokajasz, ja bardziej pana się boję? (*zbliża się Janusz z Zygmuntem, którego głos usłyszawszy, Emilia drgnęła*)

SCENA V.

Ciż, ZYGMUNT i JANUSZ.

ZYGMUNT.

Dla tego, że jaskółka podobno strzeże się nawet dotykać jaskrawo ubarwionego roba-

---

tecznym naszej scenie, gdyż podźwignie śmiało ciężar wyforsowanych partyj tenorowych, gdyż w *Marcie* obchodził się bez transpozycyi, jaką sobie inni śpiewacy ułatwiają zadanie. Pragnęlibyśmy tylko, aby artysta, goniąc za efektem, nie szpecił partyi swemi dodatkami, jak to miało miejsce w śpiewnym romansie „Ach ten wdzięk!", upstrzonym niewłaściwą kadencyą dla wyrzucenia wysokiej nuty.

. . . . . .

W kronice nekrologicznej wypada nam zanotować śmierć F. M. Sobieszczańskiego, znanego na polu badań archeologicznych historyka przeszłości naszego miasta. Nieboszczyk należał do ludzi, którzy potrafią dzięki praktycznej na rozmaitych drogach rozwijanej energii i zręczności wywalczyć sobie wcale pokaźną karyerę. Urodzony w 1814 r. pobierał nauki w Krzemieńcu a w r. 1836 zajmował się zecerstwem i literaturą przy „Kwartalniku naukowym" w Krakowie, potem odbywał wzorem niemieckich rzemieślników piesze wędrówki po Niemczech, Francyi, Belgii i Austryi, zajmując się studyami naukowemi. W 1846 r. redagował *Kmiotka* przez czas krótki, gdyż nie potrafił na tem polu być dosyć popularnym. Od 1852 był nietylko literatem, ale i kontrolującym ruch literacki, gdyż przyjął trudne obowiązki cenzora, które spełniał do 1863 roku. W ostatnich czasach zajmował się głównie pracami dziejowemi. Ważny udział przyjmował w redakcyi Wielkiej Encyklopedyi S. Orgelbranda, w której zamieścił prace z dziedziny geografii i archeologii. Z dzieł jego ogłoszonych drukiem zasługują na uwagę *Rys historyczny wzrostu miasta Warszawy* i wydanie odkrytej w rękopiśmie kontynuacyi kroniki Bielskiego. Zmarły skrzętnie zbierał różne archeologiczne materyały, których sporą ilość po sobie zostawił. Życie jego było czynne i ruchliwe, oparte na zgodzie celów praktycznych z zamiłowaniem do nauki, zostawił też po sobie owoce, którym wartość przyznać wypada.

. . . . . .

Ponieważ p. Aleksander Łysiński gorąco na intencyę naszą w *Przeglądzie Katolickim* się pomodlił, więc przypuszczamy, że nam od tej chwili będzie na świecie daleko lepiej. Słyszymy nawet, jak skutkiem tej protekcyi już w niebie porządkują dla nas osobny pokoik, z wodociągiem, gazem i.... p. Łysińskim. Bo przecie niepodobna, ażeby nas pozbawiono tak miłego towarzystwa, towarzystwa pobożnej duszy, która jedna za nas się modli. Tylko na litość p. Łysiński, nie weźże z sobą czasem *Przeglądu Katolickiego*, bo jak tam wszystkim jego powieściom o niezliczonych cudach urzędownie zaprzeczą, najemy się wstydu — pan za swego mistrza, a my za naszego kolegę. Tymczasem racz pan pobożnemu organowi zwrócić uwagę, że nie ma potrzeby tak bardzo wysławiać grzeczność Piusa IX w rozmowie z protestantami, bo przecież jest to obowiązek każdego gospodarza względem swych gości. Z drugiej zaś strony nie trzeba zbyt przeceniać tych luterskich wizyt, bo — jak wiadomo — Niemcy jeżdżą licznie do Rzymu dla prostego obejrzenia papieża a udają przed nim pokorę dla usłyszenia jego mowy. To więc, z czego *Przegląd Katolicki* robi wypadki szczególnej czci, jest najzwyklejszą podróżniczą ciekawością. Sprowadzamy tę okoliczności do właściwego znaczenia dla tego, ażeby *Przegląd Katolicki*, dowiedziawszy się kiedyś, że będąc w Rzymie, oglądaliśmy Watykan i papieża, nie zechciał nam włożyć w serce tych uczuć, a w oczy tych łez, któremi zwykle „odzyskane owce" maluje.

. . . . . .

Jeśli królom przykrzy się czasem korona, to cóż dziwnego, że *Wiekowi* sprzykrzyła się najwyższa mądrość, jaką z początku w sprawie p. Wilczyńskiego okazywał — milczenie. Istotnie, jak tu bronić czynu, który daje do wyboru: albo wyrzec się obowiązującej moralności albo winowajcy. *Echo*, które w pierwszym wypadku nie wiele miało do stracenia, odrazu się nań zdecydowało; ale

ka. Jak zaręczają naturaliści, zjawisko to, zwłaszcza między ptakami amerykańskiemi, ma być niewątpliwe. Wskazówką tu nie doświadczenie osobnika, ale długiego szeregu pokoleń, dziedzicznie przekazane w postaci instynktu.

JANUSZ.

Jaka to szkoda, panie kochany, że ludzie nie przekazują na potomstwo swoich doświadczeń; nasi synowie unikaliby świetnie ubarwionych...

ZYGMUNT (*śmiejąc się*).

Kiedy hrabia ciągle przyrodnicze spostrzeżenia odnosisz do ludzkich stosunków, w których działają inne czynniki. Jeżeli pan wierzysz indyjskiej legendzie, która utrzymuje, że gdy Bóg stworzył pierwszych rodziców, oboje kichnęli i z kichnięcia Adama narodził się lew, a z kichnięcia Ewy — kot, to zarazem pamiętać trzeba, że lew jest tylko olbrzymim kotem, którego unikać nie potrzebuje. *(zwracając się do Emilii)* Ja naprzykład mojej koteczce zupełnie ufam... Czemuż taka poważna?

EMILIA (*siląc się na uśmiech*).

Słucham wykładu pana profesora... *(Zygmunt wesoło z nią rozmawia)*

RYSZARD (*półgłosem do Janusza*).

Po licha ojciec go tu wywłóczy? Żeby mimo woli niegrzeczności prawił?

JANUSZ.

Ty z jego żoną niegrzeczności mu robisz, a on nie ma do ciebie pretensyi.

ZYGMUNT (*wesoło do Emilii i Ryszarda*).

Przedewszystkiem się baw, o co pana Ryszarda po raz drugi uroczyście proszę. Kochany hrabio, żona się skarży, że ją od zbyt silnego zapachu kwiatów głowa rozbolała; znajdź pan na to jakie lekarstwo...

RYSZARD.

Niech tylko pani zechce mi się zupełnie powierzyć.

ZYGMUNT.

Zechce, a wreszcie chorzy woli nie mają. *(do Janusza)* Wracając do naszego przedmiotu, nie jest faktem stanowczo pewnym, że rośliny żadnego poczucia estetycznego nie mają... *(oddala się w głąb sceny z Januszem)*

(D. c. n.)

JUBILEUSZ VOLTAIRE'A.

Przed ośmiu dniami, 30 maja, upłynął wiek od śmierci jednego z największych obrońców niepodległości ludzkiego ducha— Voltaire'a. Zarówno objawy zgrozy jednych, jak i uwielbienia drugich, uroczystością tą wywołane, są dla nas zupełnie zrozumiałe. Voltaire bowiem nie należy wcale do tych geniuszów, którzy dla teraźniejszości mają tylko historyczną wartość, których wpływ doszedł do pewnej granicy czasu i po za nią zniknął, rozpłynąwszy się w nowonarodzonych żywiołach cywilizacyi. On dotąd jeszcze między nami żyje, dotąd zagadnienia, przez niego rozwiązywane, śród nas są przedmiotem walki stronnictw i powszechnego zajęcia. Alboż dziś nie dzwigamy już jarzma nietolerancyi i nie usiłujemy go zrzucić? Alboż nie pasujemy się z duszącemi nas kręgami fanatyzmu? Alboż nie walczymy z widmami przesądów i organami duchowego ucisku?

Gdybyśmy zebrali tylko główne tytuły czasem ograniczonych zasług Voltaire'a, wypadłaby nam dość wielka suma chwały, ażeby stuletnią jej pamiątkę uczcić dowodami najgłębszej wdzięczności. Wszakże on to przyczynił się do zawiązania wielkiego, nigdy już potem nierozerwanego przymierza między umysłowym rozwojem Anglii i Francyi; on rozpowszechnił w swojej ojczyznie, a przez nią w całej oświeconej Europie, naukowe zdobycze angielskich mistrzów; on oczyścił wyobrażenia religijne z ciemnoty wieków średnich; on wpłynął na przerobienie społecznych stosunków według potrzeb ludzkiej natury; on wreszcie wprowadził do historyi krytykę mitów i metodę badania wewnętrznych spraw życia narodowego. Dość zatrzymać uwagę na tej ostatniej zasłudze, ażeby ocenić jej doniosłość. Po pracach Niehburów, Momsenów, Buckle'ów, Macaulayów, maleje w oczach naszych ta zasługa, która w dziejach, obok zwierzchniej ich szaty, ukazuje nam najgłębiej utajone tętna, która, obok monarchów, dworów, wojen i traktatów, odsłania wszystkie społeczne żywioły cywilizacyjnego procesu, która wreszcie każe się tłómaczyć tradycyi z każdego podania i z każdego świadectwa. Voltaire'owi należy się niejeden tytuł ojcowstwa w rodowodzie nowożytnej wiedzy, nigdzie przecież ojcowstwo to nie jest tak wyraźnem, jak w gałęzi historyi cywilizacyi. Jego *Essais sur les moeurs* jest niewątpliwie pierwszym poważniejszym przykładem tego rodzaju prac, które w naszych czasach tak wielkiej nabrały wagi. „Trudno znaleść—powiada najlepszy sędzia w tej sprawie, Buckle—dość pochwał, aby dzieło to należycie ocenić, chociażby tylko jako wyraz sztuki pisarskiej."

Nie próbujemy nawet w ogólnych rysach, kreślić tej reformy, tego przewrotu, którego Voltaire w nauce dokonał i z którego my, oświeceni przez jego następców, już tylko pośrednio korzystamy. Ważniejszą dla nas jest ta część działalności wielkiego pisarza, która aż do dziś sięga swą mocą, która dotyczy zagadnień dotąd jeszcze życiem naszem poruszających. Nie było zaś między niemi w apostolstwie Voltaire'a żadnego, na któreby on więcej talentu i wysiłków zużył, jak na zagładę fanatyzmu. Jego wystąpienia w tym przedmiocie prawie się w ciągu wieku nic nie postarzały. Fanatyzm — powiada on — jest chorobą umysłową, która się udziela jak ospa; jest dla przesądu tem, czem uniesienie dla gorączki, czem szał dla gniewu. Nie ma innego środka na tę zaraźliwą chorobę, jak filozoficzne myślenie, które, rozszerzając się coraz dalej, łagodzi obyczaje i zapobiega napadom złego. Religia i prawa nie wystarczają przeciw tej zarazie ducha: pierwsza, zamiast być dla niego zbawczym pokarmem, zamienia się w zgniłych mózgach na truciznę; drugie są również bezwładne. Bo cóż odpowiedzą człowiekowi, gdy ten mówi, że woli słuchać Boga niż ludzi, i w dodatku jest przekonanym, że zbrodnią na niebo zasłuży? Ludźmi takimi kierują zawsze niemal oszuści, którzy im w ręce sztylety wkładają. Voltaire nie ma nigdy dość barw czarnych na odmalowanie ponurego widoku religijnych sępów, rozszarpujących każdą swobodniejszą myśl i wesoło ucztujących nad jej trupem. Przesuwają się one w jego dziełach jak potwory Apokalipsy, jak hydry, którym odcięte głowy ciągle na nowo odrastają. Pamięć o nich przeszkadzała mu być spokojnym badaczem, oczarowanym urokami życia poetą. Nie może chłodno rozumować, nie może gorąco marzyć, bo mu syk gadzin w wątek myśli ciągle się wplata. Zarzucano mu, że się w tej nienawiści zbyt powta-

---

Wiek milczał, i już na pozór chylił się ku drugiej ostateczności, gdy wtem na szalę jego wahań pada ze Lwowa list pana B. i przeważa ją na stronę pana Wilczyńskiego. Pan B. również wyciąga nieszczęsnego Marczewskiego — owego przyjaciela, który p. Wilczyńskiemu podsunął plagiat — i biczuje go za krzywdy „utalentowanego autora." Bijmy i my, bij każdy, kto chce! A, masz za swoje panie Marczewski, masz szkodniku, masz zwodzicielu „naszego szanownego pisarza," któremu swój „szkic" podsunąłeś. Nie odzywasz się? Po łytkach go, niech nie figluje, nie dostarcza „rodzimych typów", nie przemyca z rossyjskiego piśmiennictwa „naszej swojskości." Co to — jeszcze się nie odzywa? Naiwni świadkowie tego biczowania! — Jakże p. Marczewski ma się odezwać, kiedy pan Marczewski to naprędce przez przyjaciół p. Wilczyńskiego zrobiona kukła, zapustny dyabeł, którego młócą ku uciesze ludku, ażeby pomścić czyn żywego winowajcy. Należy więc wyrok opinii poprawić w ten sposób, że Ostrowskiego obrabował p. Marczewski, a dopiero pana M. p. Wilczyński. A jakkolwiek i w tej kombinacyi siódme przykazanie naruszone, ale ocalona swojskość, gdyż tym sposobem p. Wilczyński wziął wprawdzie komedyę rossyjską, ale za pośrednictwem „swojego". Czyby z was, czytelnicy, kto wymyślił taką dowcipną metamorfozę, któraby kradzież czyniła „utalentowanem obrobieniem" a obcość — „naszością"? Pozostaje więc już tylko do załatwienia jeden ciemny punkt sprawy: dowiedziono „niezbicie", że powiastkę w *Echu* zamieszczoną przepisał p. Wilczyński ze „szkicu" p. Marczewskiego, ale zkąd przepisał drugą, w *Wieku* drukowaną, która również jest plagiatem z komedyi Ostrowskiego? I dla niej trzeba przecież wynaleźć jakiegoś nowego p. Marczewskiego, któryby „utalentowanemu autorowi podsunął szkic". Że też p. B. wypchaniem takiej kukły się nie zajął! A możeby nam jaką radę dał p. Sewer, który przed kilku laty miał także sprawę z p. Wilczyńskim o plagiat, czyli, jak ktoś powiedział, a sprzedanie tego *in quarto*, co było przez innego napisane *in folio*.

. . . . . .

Warszawa różni się od wielu innych miast większych że bawi się zimą i latem. Majówki, pięć teatrzyków, jeden teatr, cyrk i Dolina Szwajcarska nęcą twą ciekawość za pomocą najprzeróżniejszych afiszów, tak że wobec tego łaskawy konsument przyjemności i rozrywek wpada w prawdziwy embarras de richesses. W końcu zeszłego tygodnia w naszem życiu towarzyskiem zdarzył się jeden z faktów niezwykłych, budzących ogólne zajęcie, zwłaszcza dla naszej publiczności, która wiedzie życie tak jednostajne. Przez trzy dni Warszawa miała w swych murach monarchę z dalekiego wschodu, władcę kraju Kambyzesów i Daryuszów. J. K. M. Szach perski, przejeżdżając na wystawę paryzką, był prawdziwie ostentacyjnie przyjmowany przez tutejsze władze..... Na przyjęcie go miasto przybrało się we flagi, pomiędzy któremi bujały poetyczne emblemata perskiego państwa, lwy na słońcu z mieczem w przedniej łapie. Mieliśmy illuminacye, słońca elektryczne, paradne przejazdy, jednem słowem rodzaj stołeczno-politycznego festynu. Jak na monarchę, Szach zdawał się dość zajęty naszym mazowieckim grodem. Jeździł często po mieście, zwiedzał miejsca publiczne i zakłady prywatne, fotografował się, kupował różne przedmioty galanteryjne, wyroby mechaniczne, bywał w teatrze i lornetował nasze piękności; przez parę dni ciekawość żądnej wrażeń publiki miała przedmiot do tysiącznych wieści i komentarzy. Bytność monarchy perskiego zaciekawiła nasze mieszczaństwo i dała dużo do roboty... reporterom, którzy uganiając się za jego śladami, zbierali i polowali na ciekawe nowiny.

rza. Będę — odrzekł — powtarzał się póty, aż skutek osiągnę. I rzeczywiście, na miarę jednostkowych sił zupełnie go osiągnął. Żaden pojedyńczy gniew tak nie przetrzepał szeregów dusicieli rozumu, jak gniew Voltaire'a. Zdaje się, że klęski tym szeregom zadane dotąd nienaprawione widnieją.

Voltaire nie był ani ateuszem, ani materyalistą, ani wrogiem moralności, ani burzycielem społecznego porządku, chociaż go mściwe dusze o to dla tem pewniejszej zguby uparcie skarżyły; dla czegoż jednak ściągnął na siebie większą nienawiść religijnego fanatyzmu, niż wszyscy ci, którym owe miana słusznie się należały? Dla tego, że jego nauka znajdowała odgłos w szerokich kołach społecznych a budziła go takiemi sposobami, które ją jak najdalej ponieść mogły. Voltaire nie był messyaszem wybranych, ale ogółu, rozumieli go nietylko duchem wielcy, lecz i mali. Podczas gdy inni reformatorowie wiedzy wywracali całe jej rusztowanie, on je tylko przebudowywał i poprawiał; podczas gdy inni przemawiali suchym językiem poważnych dzieł, on rozmieniał wielkie myśli na drobną monetę każdemu dostępnych pojęć. Poezyę, dramat, satyrę, powieść, epopeję, historyę, filozofię— wszystkie niemal formy i gałęzie pismiennictwa powołał do walki z fanatyzmem i do działania w interesie umysłowej swobody. Jakich jej praw używają dziś wyzwoleni i jakim ograniczeniom podlegają fanatycy, takich część jemu winni. I dla tego zrozumiałem jest obecne uwielbienie pierwszych i nienawiść ostatnich. Gdy rada miejska Paryża chciała uczcić stuletnią pamiątkę śmierci Voltaire'a publicznym obchodem, a kler francuzki potępić ją milczeniem lub zniesławić złorzeczeniami — oba te porywy miały swoją słuszną przyczynę. Smiesznem jest—odpowiedział jeden z ministrów biskupowi Dupanloup, żądającemu zabronienia publicznej manifestacyi — śmiesznem jest powoływać przed sąd dzisiejszy człowieka, który lat temu sto umarł. Sympatyzując z pobudkami odpowiedzi ministra, nie możemy się zgodzić, ażeby to było istotnie śmiesznem, co mu się takiem wydaje. Nie jest wcale śmiesznem sądzić obecną wartość człowieka, który wprawdzie pogrzebany został przed stu laty, ale dotąd żyje. Voltaire jest dziś dla Francyi współcześniejszym, niż bardzo wielu jej znakomitych, dotąd żyjących pisarzów. O nim więc można mówić i rozprawiać tak, jak gdyby był między nami. Biskup Dupanloup czuje jeszcze na własnej skórze uderzenia, jakie się na grzbiety jego duchowego rodu z ręki fernejskiego filozofa sypały. Czyż więc nie słusznie domaga się, ażeby naród rocznicy tych niezagojonych operacyj hołdami dla ich sprawcy nie sławił? Pamięta on dobrze bolesny krzyk, jakim Jan-Grzegorz, arcybiskup vienne'jski, przed pierwszem zupełnem wydaniem dzieł Voltaire'a, ostrzegał swoich „najdroższych braci". „Był to— woła on w swym pasterskim liście — poeta, śpiewający wszystkiemi tonami poezyi naukę bezbożności; mówca napadający ołtarz i jego kapłanów; historyk, zmieniający fakta na niekorzyść objawienia kościoła i świętych; filozof, zaciemniający najcenniejsze prawdy chmurami sceptycyzmu. Tym to sposobem stał on się w naszym wieku koryfeuszem niewiernych, patryarchą nierelig ijności. Nie mówimy, ażeby w naszych czasach nie było — i na nieszczęście zbyt wielu — innych pisarzów, którzy uderzają na religię, często nawet z większą niż on głębokością i metodą, i którzy staliby się daleko niebezpieczniejsi, gdyby niewiara zyskiwała sobie wyznawców za pomocą badań i rozumowań; lecz Voltaire o tyle znał sprawę, której się poświęcił, że czuł potrzebę innej broni niż poważna rozprawa, o tyle znał ludzi, że zastawił na nich ponętniejsze sidła. Z natury obdarzony poetycznemi zdolnościami użył ich na przyprawianie trucizny, którą chciał rozszerzyć; szyderca i satyryk zaostrzał śmiesznością i ironią swoje groty na religię; nie gardził nawet szarlatanizmem sfałszowanej erudycyi. Jego filozofia przedstawiała dla umysłów powierzchownych i płochych tę wygodę, że przeprowadzając je bez ładu i ciągu z przedmiotu na przedmiot, z zagadnienia na zagadnienie, dotykając tylko wraz z niemi wszystkiego, nie rozbierając niczego, skłaniając do mówienia, jak ona, językiem wzgardliwym i ostrym, przekonywała, że, ażeby zostać filozofem, trzeba tylko jej uwierzyć". Szanowny arcypasterz, rzucając te strzały czuł, że one same nie zadadzą śmiertelnego ciosu, i dla tego zaatakował bezbożnika interesami świeckiej potęgi. „Mamyż dodawać — pyta — do tylu występków i zboczeń rozkiełznane zamiłowanie swobody ludu, odrazę dla zwierzchniej władzy i ducha niepodległości, uczucia, którego głoszenie pociąga za sobą niebezpieczne następstwa w każdem oświeconem państwie, szczególniej zaś jest potępiania godne w takiej monarchii, jak Francya; mamyż dodać gorycz i złośliwość jego języka dla wszystkich, których za swoich nieprzyjaciół uznał; wreszcie zuchwalstwo w niejednym wypadku przeciw urzędom, temu szanownemu ciału, któremu nigdy nie mógł przebaczyć sprawiedliwego napiętnowania jego pism?"

Co Jana Grzegorza bolało w r. 1781, to samo arcybiskupa Dupanloup jeszcze dziś boli. Nic więc dziwnego, że domagał się on od ministeryum zakazania publicznej uroczystości na cześć człowieka, któremu Francya zawdzięcza, że jezuickie kapelusze nie są dziś koronami na wężowych głowach. Rząd nie poddał się logice pasterza ultramontańskiej trzody, dogodził mu jednak o tyle, że odjął jubileuszowemu obchodowi charakter urzędowy. Motywami tego postanowienia miały być przyjazne stosunki Voltaire'a do Prus. Co za liche względy! — jak gdyby on błędów swego patryotyzmu nie odkupił większem poświęceniem i zasługami na ołtarzu ojczyzny.

Względy te na szczęście nie przeszkadzają innym auropejskim narodom, z których każdy prawie ma do spłacenia jakiś dług wdzięczności genialnemu myślicielowi, wspomnieć o nim w stuletnią rocznicę śmierci z najgłębszym szacunkiem. Ani domyślamy się, w jakim stopniu jesteśmy jego duchowem potomstwem. Przez wiek od jego zgonu nauka znaczną przebiegła drogę, pojęcia nasze się zmieniły, rozszerzyły, ale zasada wolności umysłowej, której Voltaire był tak nieustraszonym obrońcą, dotąd nam króluje. „Jeżeli duchowieństwo krajów podległych rzymskiej religii — powiada Condorcet — utraciło swą niebezpieczną władzę i gorszące bogactwa; jeżeli wolność prasy uczyniła niejakie postępy; jeżeli Szwecya, Rossya, Polska, Prusy, posiadłości austryackie pozbyły się religijnej nietolerancyi; jeżeli nawet we Francyi i niektórych państwach włoskich zadano jej niejakie ciosy, jeżeli haniebne resztki feodalnego poddaństwa wstrząsnięte w Danii, Rossyi, Czechach i Francyi; jeżeli nawet Polska czuje dziś (r. 1787) jego niesprawiedliwość i niebezpieczeństwo; jeżeli niedorzeczne i barbarzyńskie prawa wszystkich narodów zostały zniesione lub zagrożone blizką burzą; jeżeli wszędzie odzywa się potrzeba zmiany ustaw i sądów; jeżeli w Europie ludzie zyskali prawo używania swego rozumu; jeżeli religijne przesądy zniszczone w oświeceńszych klasach społeczeństwa a osłabione śród dworów i ludu; jeżeli ich obrońcy zasłaniać je muszą podłemi względami użyteczności politycznej; jeżeli miłość ludzkości stała się powszechnym językiem rządów; jeżeli wojny są rzadsze; jeżeli spadły wszystkie kłamliwe maski, pod któremi uprzywilejowane kasty kryły możność oszukiwania ludzi; jeżeli rozum po raz pierwszy zaczął się rozlewać po wszystkich narodach Europy czystem i jednostajnem światłem—wszędzie w historyi tych zmian odnaleść można imię Voltaire'a, wszędzie prawie widzicie go, jak zaczyna walkę lub rozstrzyga zwycięztwo."

Jeżeli w tym rachunku zasług Voltaire'a niektóre za wysoko podane, wynagradzają je inne, przez Condorceta niedostrzeżone, a później w ciągu lat stu odkryte.

Z WYSTAWY PARYZKIEJ.

III.

Żadna część z przestrzeni zajętej pod Wystawę nie została właściwiej zużytkowaną, jak wzgórze placu Trocadero, zamknięte z jednej strony tak zwanym Pałacem Trocadero, a z drugiej, zielonawą wstęgą Sekwany. Pod stopami piasek, pomięszany ze żwirem, a nad głowami niebo, ziejące ogniem słonecznym. Ani kawałka drzewa, któreby cieniem choć gdzieniegdzie osłoniło głowy przed afrykańskim skwarem; ani kawałka ławki, któraby zwiedzającym dała choć chwilę spoczynku! Na całym obszarze malowniczego stoku musisz się błąkać jak beduin na pustyni bez oazy. Przedsmak Sahary tu aż nadto uczuwać się daje, boć afrykańskich i azyatyckich pawilonów oazami bynajmniej nazwać nie można. Zresztą oaza jest miejscem wytchnienia, miejscem, gdzie koczownik znajdzie środki pokrzepienia dla swego znużonego ciała, a pawilony, rozsiane na tej przestrzeni, nietylko że spocząć nie dają, ale nawet są przyczyną nowych trudów.

Zdawaćby się mogło na pozór, że komitet Wystawy umyślnie wyłączył ze wzgórza Trocadero wszelką możliwość spoczynku, aby zwiedzający, znużony oglądaniem Chin, Japonii, Persyi, Maroko i Tunisu, padł na miękkie krzesło w pawilonie algierskim i pod cieniem palm, przy szmerze w górę rzucanych wód, radował się bogactwem algierskiej przyrody. Po kilkanaście razy przebiegałem te pawilony, domki i budy Wschodu, zadając sobie pytanie, co znaczy ta Wystawa frymarczących kupców? Co za pożytek świat cywilizowany wyniesie z przyglądania się sprzedaży detalicznej wyrobów Wschodu na wzgórzu Trocadero?

Chciałem się zapoznać ze stanem kultury i bogactwa materyalnego krajów pozaeuropejskich. Wchodzę do pawilonu Chin. Na wzniesieniu stoi typowy dom chiński, pracowicie zbudowany i subtelnie ozdobiony płaskorzeźbami w stylu swojego kraju. Przypuśćmy, że jest on wierną kopią mieszkalnego domu lub nawet pałacu chińskiego mandaryna. Wszystko każe się tego domyślać. Szeroki czworobok zabudowany z trzech stron, z czwartej ma sztachety i dużą bramę, przez którą się wchodzi na dziedziniec, ozdobiony altaną. Do tej pory wszystko w porządku. Dom jest typowy, altana chińsko-chińska. Wystudiowawszy proporcye przez kilka dni, możnaby pojechać do państwa Niebieskiego i bez trudności zostać architektem, z wyjątkiem bowiem do góry wyginanych dachów, cała budowa nie przedstawia nadzwyczajnych odstępstw od europejskiego budownictwa. Większą trudność przedstawiałaby naturalnie ornamentacya, tak różna od naszej w stylu i robocie, gdyż o ile jest niedołężną w pierwszym wypadku, o tyle znowu mistrzowską w drugim. Chińczycy, podobnie jak i my, mają zwyczaj przedstawiania w płasko- i wypukło-rzeźbie sceny z natury, z tem nadmienieniem, że kiedy myśmy doszli w naślado-

waniu natury łudzącem podobieństwem, oni szpecą ją najfałszywszemi proporcyami, najdziwaczniejszem koloryzowaniem, a nadewszystko najnieprawdopodobniejszą do rzeczywistości fantazyą. Z tego powodu, o ile ich architektura, nosząc na sobie piętno i potrzeby klimatyczne kraju nie razi, o tyle ornamentacya znowu świadczy o zupełnem niedołęztwie w sztuce, gdyż, przy najsubtelniejszem wykończeniu szczegółów, nie nosi na sobi cech prawdy. Wszyscy znamy zresztą architekturę i obsługujące ją snycerstwo tak dobrze, że dłużej ani pilniej nad tym przedmiotem zastanawiać się nie warto.

Wchodzę zatem wewnątrz. Każdy przypuszcza, że w ogromnym stosunkowo pawilonie zobaczy wszystko, co olbrzymi ten kraj posiada. Zatem produkta rolne, wyroby różnych gałęzi przemysłu, jakieś dane o stanie oświaty, modele mostów, statków, domów mieszkalnych, słowem wszystko, coby mi dało przybliżone choćby wyobrażenie o Chinach, po za tem, com o nich czytał. Jednakże nieprawda. W pierwszym, drugim, nareszcie dziesiątym pokoju, waza z porcelany, szachy z kości słoniowej, wachlarz z palmowego liścia lub manekin z masy papierowej. Gdyby chociaż wierzyć można, że to wszystko naprawdę chińskie, toby nieżal przynajmniej było opędzać się chińczykom, wciskającym te swoje arcydzieła i studiować ich sztukę. Ale bądź to przez ciągłe stosunki z Europą i Ameryką, bądź też przez oddanie hołdu wyrobom naszego kontynentu, Chińczycy albo silnie ulegli wpływowi cywilizowanego świata, albo też zakupili u fabrykantów paryzkich wyroby, które zatraciły cechy chińskiego gustu. Stosuję to przedewszystkiem do ramek fotografii, które nie są tak misternie wyrobione, jak to jest w zwyczaju Chińczyków, a w rysunku podobne są do naszych tandeciarskich w tym rodzaju wyrobów. Obok skośno-okich i długo-warkoczowych obywateli Niebieskiego państwa siedzą stare paryżanki i pomagają im w wyzyskiwaniu publiczności. Gdyby się to działo po za Wystawą, nikt nie mógłby rościć do Francuzów pretensyi; ale takie kupczenie w miejscu, gdzie mniej więcej każdy przychodzi się czegoś nauczyć, jest co najmniej niewłaściwe. Przypatrujesz się cudownie wyrobionym szachom, podchodzi Chińczyk i krzyczy ci w uszy cenę; probujesz porcelany we wspaniałym wazonie, następuje ci na pięty stara Francuzka i zachwala tani towar; wąchasz herbatę, a pod nosem miga ci się warkocz małego chińczątka, które zaraz chce odważyć chociaż z pół litra narkotycznego kwiatu.

Nic się nie dowiedziawszy, ani nauczywszy, uciekam z pod tych powyginanych dachów i nie opieram się aż w Japonii. Tu wszystko z bambusa. Sztachety z bambusa, brama z bambusa, dom z bambusa, drzwi, okna, posadzki, firanki, stołki, krzesła, słowem wszystko z bambusa, a w środku drzewo bambusowe. Mały domek przedstawia mieszkanie Japończyka. Dobrze byłoby się zapoznać z japońskiem życiem domowem, ale ponieważ domek naokoło jest opasany sznurem broniącym przystępu, musiałem się zadowolnić zewnętrzną stroną architektury, zupełnie podobnej do europejskiej i szczegóły o tym kraju zanotować po obejrzeniu pawilonu Chin i Japonii na Polu Marsowem.

Przechodzę do Afryki. Tunis, Maroco, Algier i kolonie francuzkie zajmują całą pozostałą przestrzeń wzgórza Trocadero. W Tunisie i Maroco najzupełniejszy jarmark. Obszerny pawilon ze skrzydłami i kioskami, najdziwaczniej pomalowany, mieści w sobie wszystko, co od ręki sprzedać można. Dywany, koszyki, medaliki, krzyże z Chrystusem, wszelkiego rodzaju święci i święte, koraliki, paciorki, koronki, orzechy, figi, makagigi i t. p. produkta ziemi i przemysłu migoczą się w nieładzie przed oczami zwiedzających, którzy ulegając pokusie do fatałaszków, dość chętnie dają się okpiwać ogorzałym mieszkańcom Afryki. Muzyka gra w dwóch kawiarniach, a raczej szynkach, wymodelowanych na afrykańskie, gdzie sprzedają kawę i piwo. Dopóki tu się znajdowałem, w głowie mi ani na chwilę myśl nie powstała, że jestem na Wystawie.

Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to przyjemniejszego wrażenia doznałem w jednopiętrowym pawilonie Szacha perskiego. Cały ten dom, jak wysoki i szeroki, wewnątrz jest zupełnie pusty. Prawdopodobnie na przyjazd Szacha wstawią w niego jakie meble kawalerskie, ale w tej chwili na dole bije mała fontanna pokojowa, a na górze promienie słoneczne kąpią się w kryształach szkieł misternie ułożonych na suficie, który mieni się grą tęczowych kolorów. Nie sądźcie jednak, że to wszystko robi wrażenie zaczarowanego pałacu. Wprawdzie sufit oryginalnością swoją zatrzymuje na chwilę uwagę widza, ale o tyle tylko, o ile temu się podoba przyglądać formom kryształów i wzajemnemu ich ustosunkowaniu. Po ochłonięciu z dziecinnego wrażenia, jakie na człowieka migoczące szkła robią, cały zachwyt nad pawilonem redukuje się do przyjemności oglądania mieszkanka schludnej szwaczki na facyacie, do którego, ze względu na wązkie, okrągłe schodki, mały rozmiar pokoju i brak dostatecznej ilości powietrza, pierwsze piętro pawilonu jest w zupełności podobne. Blado-różowo malowane ściany i w ciemniejsze kwiaty ukoloryzowane sufity parteru, sieni i schodów, przypominają jeszcze więcej podobieństwo do kokieteryjnego mieszkania niegdyś zamożnej panienki, której oprócz gustu z dobrych czasów nic się nie zostało. Pawilon jest jeszcze nieskończony, może więc z czasem przybędą tu jakie dzieła sztuki i rzemiosł, które dadzą przybliżone wyobrażenie o bogactwach Persyi, o sławnych dywanach, pysznej broni lub wygodach życia: dziś jednak jest to skromny, miły budyneczek, z zewnątrz podobny do wysokiego spichrza, a wewnątrz, jak się powiedziało, do mieszkania szwaczki.

Lewą stronę wzgórza Trocadero zajęły kolonie francuzkie i Algier. Kilkanaście drobnych pawilonów, a raczej kiosków, w stylu zbliżonym do maurytańskiego, okala główny pawilon Algieru, stojący w dole. Naturalnie tu, jak w Chinach, Maroco i Tunisie sprzedaż detaliczna jest na porządku dziennym. Miedziana Murzynka, piękny Arab lub namiętna Maureska, na wyścigi wpychają przechodniom wyroby i płody swego kraju. O tyle jednak to kramarstwo w sekcyi algierskiej jest wyższe od poprzednich, że znaczna część wyrobów dokonywa się przed oczami widzów. Tu poważny, smętny Arab szyje buty safianowe, od czasu do czasu niedbale rzucając melancholiczne spojrzenie na ciekawców zbyt natrętnych, tam Murzyn czarny jak kamienny węgiel, wyciska pieczęć na mydle ziemnem *El Chebabia*, rozdając anonse i przechwalając wartość tego naturalnego kosmetyku, owdzie ładna Francuzka sprzedaje doskonałe fotografie widoków Algieru i jego mieszkańców. Ruch tu nie do opisania. Malowniczość kostiumów zadziwia co chwila oko niezwykłością, a różnorodność typów i wyrazów rozrywa uwagę na wszystkie strony. Wchodzę do głównego pawilonu. Czworobok bez okien, oświecony od podwórza, na zewnątrz przedstawia się jako imitacya najzupełniej dokładna jednej ze świątyń algierskich. Jest to może najbardziej malowniczy pawilon na Wystawie. Murowany, cały biały, z gzymsem naokoło, malowanym w różnokolorowe równoległoboki skośne, po bokach posiada dwie nierównej wysokości wieże i portyk, zasklepiony ażurową kopułą. Na schodach z obu stron wejścia stoją wyborne dwie figury miedziane, przedstawiające Maurytanki niosące kosze z owocami na głowach, a w środku portyku wspaniały wazon z kwiatami Algieru. Zanim poszedłem rozglądać się w bogactwach francuzkiej kolonii, oczarowany rozkosznemi wdziękami algierskiej fauny siadłem na ławce w dziedzińcu pawilonu. Palmy wachlarzowemi liśćmi osłaniały mi głowę od promieni skwarnego słońca, a fontanna rozrzucała drobne perły krynicznej wody. Jakiś spokój uroczysty i wschodnia powaga panowały w tym dziedzińcu osklepionym powietrznym dywanem błękitnego nieba. W pawilonie tłumy roiły się koło najdrobniejszych okazów: rozmowa pomięszana ze śmiechem i okrzykami zachwytu dolatywała moich uszu z głębi. Z kilkudziesięciu osób, które przeszły zwolna przez podwórze, kilka zaledwie usiadło na ławkach: inne spuściwszy mimowolnie głowy przed majestatem arabskiej sztuki, przeszły coprędzej, nie zatrzymując się wcale. Te, które pozostały na miejscu, utkwiwszy wzrok w arabeskach muru lub bujnych liściach palmy, szeptały z cicha ze sobą. Cienkie kolumny, podpierające naokoło szeroki gzyms korpusu, tworzyły szpaler, przez którego otwory światło wpadało do wnętrza tej świątyni przemysłu. Falista linia łuków okrągłych, spajających pojedyńcze filary, dodawała uroku i upodobniała algierski pawilon do wspaniałego jakiegoś mauzoleum. Oprócz artystycznych wrażeń, jakie ztąd uniosłem, złożyłem wpierw hołd francuzkiemu gospodarstwu w Afryce. Znakomite karty geologiczne i metalurgiczne świadczą wymownie o eksploatacyi skarbów ziemi algierskiej, a próbki pszenicy, kukurydzy, lnu, kartofli i setek gatunków roślin ozimych i okopowych, przekonywają o wysokiej kulturze rolnej. Czyż potrzebuję nadmieniać o figach, daktylach, olbrzymich pomarańczach, cytrynach lub bananach, których owocem poczęstował mnie jeden z wystawców? Szczęśliwy kraj swojem bogactwem naturalnem i gospodarczem, który racyonalną drogą pracy nagradza pokrzywdzonemu w wolności narodowi materyalnym dobrobytem i wspaniale urządzonemi szkołami. Całe dwa skrzydła pawilonu zajęte są pod okazy pracy szkolnej i obrazy pedagogicznego szematu. Po kilkadziesiąt kajetów z każdej klasy szkół algierskich leży na stołach dla przekonania widzów, jak się nauka w tym napół dzikim kraju wprowadza. Każde wypracowanie kaligraficzne lub stylowe pisane jest w dwóch językach: ojczystym arabskim i urzędowym francuzkim. Rysunki nietylko ręczne i linijne wykładane są w szkołach, ale nawet malowanie z natury należy do systematu pedagogicznego. Z prawdziwą przyjemnością przypatrywałem się tym artystycznym porywom arabskiej młodzieży. Portrety i krajobrazy sztywne i niezdarne w rysunku, jak się tego zresztą po dzieciach spodziewać można było, w kolorze różne są od obrazów europejskich, co dowodzi znowu, że nauczyciele pozwalają się talentom rozwijać na gruncie realnym, nie narzucając im typów europejskiego malarstwa. Szkoły dla dziewczyn urządzone są z celem kształcenia ich w kierunku praktycznym. Oprócz dowodów piśmiennych szkoły żeńskie nadesłały okazy tak zwanych robót ręcznych i wszystkiego co wchodzi w zakres kobiecego gospodarstwa.

Zbiory misternie grawerowanej broni tuziemców zdobią ściany pawilonu, a mały pokój, wybity makatami i umeblowany w sprzęty bogatego algierczyka, daje wyobrażenie o wygodach i smaku ludów północnej Afryki. Biblioteka, zawierająca kilkaset tomów opisów kraju pod względem historycznym, klimatycznym, przemysłowym i t. d.

pokaźnie stoi wpośród fotograficznych widoków z natury. Nie przypominam sobie nazwiska fotografa z miast Algier i Konstancya, przyznać jednak muszę, że jego fotografie wcale nie są niższe od europejskich. Na jednej ze ścian wisi obraz naszego rodaka pana Brochockiego, przedstawiający krajobraz Algieru. Obraz nie jest bez zalet w rysunku, ale w kolorze jest nieprawdziwy, jak się o tem przekonałem, porównywając go ze studyami z natury algierskich uczniów. Widocznie więc musiał być narysowany z fotografii a malowany z pamięci. Tuż niedaleko leży książka pana Landowskiego, opisująca Algier pod względem klimatologicznym; dla braku czasu i miejsca na tak szczegółowe i specyalne sprawozdanie z żalem położyłem książkę na stole, nie mogąc rozejrzeć się dłużej w jej wnętrzu.

Cóż robić?! Nawał pracy wypędza z pawilonów nawet takich, w którychby warto posiedzieć i postudiować pilniej. Materyały z Wystawy gromadzą się co godzina prawie, a życie pozawystawowe w Paryżu nasuwa tysiące wypadków pod pióro. Trudno, żyjąc w stolicy politycznych walk, izolować się od wypadków, którym cała Francya poświęca baczną uwagę.

Obchód stuletniej rocznicy śmierci Voltaire'a był w ostatnich dziesięciu dniach kwestyą żywotniejszą, aniżeli zebranie się kongresu w Berlinie, w który francuzkie dzienniki nie wierzą dotąd. Gdyby nie deszcz nawalny, padający przez cały dzień 30 maja, może bylibyśmy się doczekali czegoś ciekawszego na ulicach Paryża, aniżeli to, co się odbyło w cyrku i teatrze Gaieté. W cyrku sześć tysięcy osób przyglądało się biustowi wielkiego myśliciela i oklaskiwało mówców występujących po kolei, aby streścić działalność i znaczenie Voltaire'a w dziele cywilizacyi. W Gaieté biust Voltaire'a przez Houdona, ubrany w kwiaty, prezydował ze swym szatańsko-szyderczym uśmiechem przy stole wraz z Wiktorem Hugo. Co mówił ten starzec, powtarzać nie będę. Paradoksy wypierały frazesy, a frazesy paradoksy. Mistrz sztucznych efektów rzucał garściami błyszczących szkiełek pomiędzy tłum entuzyastów. Co chwila zbrodniarz, zbrodnia, złoczyńca, zabójca, morderca, wylatywały z roznamiętnionej piersi poety i wywoływały grzmoty oklasków. Od początku do końca w mowie Wiktora Hugo czuć było ten sztuczny nastrój melodramatycznej tragiczności, podpartej przesadą. „W wielu wypadkach bohater jest odmianą mordercy... Jeżeli zabić jest zbrodnią, to zabić wiele nie może być okolicznością łagodzącą; jeżeli ukraść jest hańbą, to zagrabić nie może być chwałą". Burza, gromy, potoki krwi, trupy i widma przesuwały się przed oczami słuchaczów, po czem nastąpiły słabsze ataki pokoju i zgody zakończone wykrzykiem: „Zwróćmy się do wielkiego umarłego, wielkiego żyjącego, do tego wielkiego umysłu". Potem logika poety dostała konwulsyj i miotając się w dziko brzmiących wyrazach, zamarła w pięknym frazesie: „ponieważ noc wychodzi z tronów, niechże światło wyjdzie z grobów". Blizko półgodzinna mowa przy żywej gestykulacyi Wiktora Hugo, zmęczyła uwagę, rozpraszającą się na pojedyńcze frazesy. Zdania wtrącone usuwały główny przedmiot na bok, lub pokrywały go zupełnie. Zdaje mi się, że tylko dwoma zdaniami Hugo potrącił o Voltaire'a; reszta stanowiła tło krzykliwe i błyszczące akcesorya. Przez chwilę byłem przekonany, że autor *Nędzników* czyta *Kuryera Warszawskiego* i zdziwiłem się nie usłyszawszy: „podawała cegłę", „biegł przez mosty", „przyjechał na świat w dorożce", lub „baczność czytelnicy!"... Szyderczy wzrok Voltaire'a wyprowadził mnie z omyłki i przypomniał, że na jego cześć nasze pisma nie spalą kadzideł.

Wieczorem niektóre domy, zwłaszcza w studenckiem Quartier Latin, były iluminowane. Orszak z radą miejską na czele nie poszedł przez ulice wskutek zakazu ministra spraw wewnętrznych. Nawet klerykalna kontrmanifestacya na cześć Joanny d'Arc nie udała się z tej samej przyczyny. Dwie kobiety śmielszej natury dotarły do posągu, aby rzucić wieńce, ale dostały się do prefektury policyi. Klerykalna partya w szale antivolterowskim zapomniała zupełnie, że stos dla Joanny d'Arc ułożyli biskupi francuzcy.

Językoznawstwo porównawcze wobec nauk historycznych.

Znakomity krytyk chrześcianizmu i pierwszorzędny badacz narzeczy semickich p. Józef Ernest Renan miał kilka miesięcy temu w Sorbonnie paryzkiej przed wybraną publicznością odczyt *O zasługach, jakie filologia* (właściwie: *językoznawstwo porównawcze) oddaje naukom dziejowym* [1]). Popularna biesiada streszcza przedewszystkiem historyę lingwistyki jako umiejętności; następnie wyjaśnia zasadę podziału języków na szczepy i rody, a w końcu określa zręcznie stosunek porównawczych studyów nad mową ludzką do etnografii i antropologii. Praca Renana, choć w szczupłych zamknięta ramach, zasługuje na głębsze uznanie, jużto dla tego, że nauka, której podstawę tłómaczy i granice zmierza, mało dotąd była rozpowszechnianą, jużto że mówca przy jasnej metodzie wykładu zdołał pogodzić bystrość myśliciela z nałożeniem wędzidła na fantazyę uczonego. Powtórzymy więc w streszczeniu słowa europejskiego hebreisty, uzupełniając je gdzieniegdzie przykładem lub pobieżną uwagą.

Lingwistyka porównawcza sięga początkiem swoim zaledwo świtu naszego stulecia. Grecy, którym się należy chwała wynalazku wielu tytułów pracy duchowej, stworzyć nauki tej nie mogli; bo znali tylko swój własny język, i to wyłącznie w bieżącej dobie jego rozwoju. Najpierwszy n. p. z gramatyków helleńskich, słusznie zkąd inąd ceniony Apolloniusz, traktując szeroko o przedimku greckim, utrzymuje, iż jest on charakterystyczną „właściwością wszelkiej mowy." Gdyby ten mąż uczony—żyjący w Aleksandryi pod panowaniem rzymskiem około 140 r. po Chrystusie — zapoznał się był choć powierzchownie z narzeczami, jakie w otoczeniu spółcześnie kwitły, doszedłby łatwo do wniosku, że są języki (n. p. łaciński), które się zupełnie obejść mogą bez przedimka.

Pierwszym filozofem, który wpadł na tory porównawczej nauki języków, był Leibnitz († 1716); on dopiero dostrzegł, jaką korzyść z podobnych badań odnieść może historya; sam nawet zaznaczył ważny szczegół analogicznych zjawisk w mowie perskiej i niemczyznie. Zmarły przed stuleciem ekonomista i minister finansów Turgot, wyprzedzając swój wiek pod innym względem, spodziewał się również wiele od umiejętnej uprawy lingwistyki powszechnej.

Z tem wszystkiem podwaliny dla porównawczego językoznawstwa założono dopiero w XVIII wieku, z chwilą odkrycia sanskrytu. Najprzód misyonarze katoliccy, a następnie towarzystwo uczonych angielskich w Kalkucie badało starożytną mowę nadgangesowego ludu — w ścisłej łączności z greczyzną i łaciną. Szczególne w tem gronie zasługi położył główny promotor sumienniejszych nad sanskrytem studyów, William Jones (Dżones). Fryderyk Szlegel później w słynnem swem dziele *O języku i mądrości staroindyjskiej* [1]) posunął naukę o krok jeden dalej. Człowiekiem wszakże, którego należy uważać za prawdziwego twórcę porównawczej teoryi języków, jest zgasły przed lat dziesiątkiem Franciszek Bopp [2]). Uczony ten dowiódł stanowczo ścisłego pokrewieństwa sanskrytu z mową perską, grecką, łacińską i narzeczami germańskiemi, a wywody jego, oparte na metodzie ściśle naukowej, są wręcz przeciwne fantazyjnym pomysłom dawnych lingwistów, którzy wszystkie języki wyprowadzali z hebrejskiego. Podstawą dla umiejętnych badań Boppa i jego następców jest fonologia, która na drodze czysto pozytywnej określa niezłomne prawa przemiany pojedyńczych dźwięków. Zasada taka wyklucza wszelką dowolność; bo gdy np. utrzymujemy, że greckie i łacińskie słowo *fero* odpowiada sanskryckiemu pierwiastkowi *bhri*, to opieramy się głównie na tem, że wchodzące w skład danego pierwiastku brzmienie *bh* utożsamia się w mnóstwie wyrazów z greckiem *φ*. Czyż w podobny sposób dążyli do zdobycia prawdy przeszłowieczni etymologowie? Nie, ich postępowanie było nawskróś arbitralnem. Z dopatrzonego zbiegu wrażeń słuchowych wyprowadzali oni śmiałe niekiedy, ale najczęściej mylne wnioski. Twierdzili np., że *sauvage* (dziki) pochodzi z łacińskiego *solivagus* (samopas błądzący). Może to być prawdą dla oka, dla ucha, prawdopodobieństwem nawet dla tak zwanego chłopskiego rozumu; lecz mija się zupełnie ze ścisłością naukową, z wynikami badań, które dowiodły, że *sauvage* powstało z *silvaticus; silva* bowiem przekształca się w romańskie *la sauve* (las); końcówka zaś *aticus* przybiera stale we francuzczyznie skróconą formę *age*. Dopełniając myśl Sorbońskiego prelegenta, zauważymy w tem miejscu, że i Polacy poszczycić się mogą dość licznem gronem niepowołanych, a mimo to sięgających daleko etymologów. Najsłynniejszym z nich jest, jak wiadomo, Wojciech Dębołęcki z Konojad, franciszkanin, który w swym *Wywodzie jedynowładnego państwa świata* (Warszawa, 1633) przez zabawne zestawianie wyrazów polskich z obcemi — dowiódł *jak na dłoni*, że jesteśmy najstarożytniejszym ludem w Europie. Bieżące stulecie dostarcza nam też przykładów błądzenia po lingwistycznem bezdrożu; łatwo je znaleść w pismach Mickiewicza, Słowackiego, Zaleskiego, Pola, Trentowskiego i innych. Dotąd jeszcze mniemana ortografia wielu słów polskich opiera się na wyprowadzaniu ich z niewłaściwego źródła. Piszą np. wyraz *pasożyt* przez *ż*, zestawiając go ze zbliżonym co do dźwięku i znaczenia greckim *parasitos* (pieczeniarz, darmozjad) — na tej jakoby zasadzie, iż *pasożytem* jest ten, co *żyto wypasa;* tymczasem wiadomo, że druga część wyrazu pochodzi od staropolskiego rzeczownika *rzyć (zad)*; *pasorzytami* zaś przedewszystkiem nazywamy istoty organiczne, rozwijające się na grzbiecie (zadzie) innych zwierząt lub roślin.

Twórcą zatem racyonalnej metody w porównawczem badaniu języków był Bopp. Dzieło przez niego rozpoczęte prowadzą dalej z wielkiem powodzeniem: Burnouf, Lassen, Benfey, Maks Müller, Schleicher, Mikloszicz i inni. Zbadano już tedy do pewnego stopnia w porównaniu z sanskrytem i zendem — narzecza romańskie, germańskie, słowiańskie, litewskie, celtyckie wreszcie, i przekonano się, że wszystkie one do jednej należą rodziny.

Czyż i hebrejski język do tej samej grupy zaliczyć wypada? Bynajmniej. Porównajmy go tylko z greczyzną i łaciną, a łatwo się

---

[1]) *Des services rendus aux sciences historiques par la filologie (Revue pol. et lit.*, N. 37).

[1]) *Sprache und Weisheit der Indier* (1808).

[2]) Pierwsze jego epokowe dzieło *Conjugationssystem der Sanskritsprache* ukazało się w 1816 r.

przekonamy, że i słownik tam jest inny, i morfologia. Trafiają się wprawdzie pewne leksykograficzne podobieństwa, ale są one czysto zewnętrzne, przypadkowe; co się zaś tyczy gramatyki, to śmiem powiedzieć, że „konjugacya słowa hebrejskiego tak jest podobną do spajania słów sanskryckich lub greckich, jak robaczek do słonia".

Język więc hebrejski do innej należy rodziny, a braćmi jego są arabski i syryjski. Blizkie między temi narzeczami pokrewieństwo żadnej nie ulega wątpliwości, i jest daleko bardziej widoczne, niż wspólność szczepowa śród indoeuropejskiej familii. Porównanie mowy semickiej z aryjską na zasadzie przemian dźwiękowych nie przedstawia żadnych dla nauki widoków. Od jednej rodziny do drugiej niema najmniejszego przejścia, najmniejszego pozytywnego łącznika; zkąd wypada wnosić, że są to dwa odrębne typy, dwie niezależne od siebie kreacye.

Poza temi rodzinami istnieją inne grupy i osobniki, jak np. grupa narzeczy berberyjskich w północnej Afryce, język Koptów w Egipcie i Basków w Pirenejach, które o ile się różnią między sobą, o tyle nie mają nic wspólnego ani z indoeuropejską ani z semicką rodziną. Widzimy więc, że celem, do którego lingwistyka porównawcza dochodzi, jest umiejętne dopatrywanie się cech wspólnych i grupowanie narzeczy. Ale czy możemy powiedzieć, ile jest tych grup, tych familij językowych? Nie. Lingwistyka wprawdzie nie ustaje na drodze postępu, a siew rzucony przez Boppa zazieleniał już bujnie. Godnem jest wszakże uwagi, że gdy na niwie indoeuropejskiego językoznawstwa krząta się wielu pracowników, inne rody i osobniki są mniej lub więcej zaniedbane; skutkiem czego niepodobna dziś orzec, ile znajduje się na globie ziemskim lingwistycznych ognisk. Sądzę zresztą, że nigdy kwestyi danej z należytą ścisłością rozwiązać nie będziemy mogli, bo choćbyśmy nawet wszystkie żyjące i w pomnikach piśmiennych przechowane znali języki, to pozostają jeszcze w grobie zapomnienia całe familie lub pojedyńcze narzecza, które znikły bez śladu. Bądź co bądź, notujemy fakt główny, że wielka mnogość języków, jakiemi mówią na powierzchni ziemi, da się sprowadzić do dziesięciu, piętnastu, dwudziestu może, słowem do mniej lub więcej ograniczonej liczby rodzin.

Wiemy już tedy, że sanskryt, mowa żyjąca niegdyś w ustach ludu z nadgangesowej doliny, a dziś znana jedynie z prastarych pomników piśmiennych — przedstawia przy umiejętnem porównaniu wielkie podobieństwo do języka greckiego, łacińskiego i wielu innych. Jakby to sobie wytłómaczyć? Nie możemy naturalnie, wstępując w ślady starożytnych lingwistów, popierać błędnej teoryi, że między pojęciem a jego znakiem istnieje pewien *konieczny* związek; bo przeczy temu najwyraźniej sama rozmaitość języków. A więc jaka jest rzeczywista przyczyna uderzającego zbiegu pierwiastków i odmian wspólnych, które nas skłaniają do uznania familii indoeuropejskiej? Może podoba się komu nazwać to poprostu pożyczką? Zaprawdę, wszelkie hypotezy, jakie na ten temat niegdyś powymyślano, straciły oddawna kredyt i niepotrzebują już być odpieranemi. Pożyczka wprawdzie na naszej niwie — podobnie jak „endosmos" i „exosmos" w fizyce — jest rzeczą naturalną, a więc niejednokrotnie sprawdzaną; ale jakież to wyrazy przejmuje zazwyczaj jedna mowa od drugiej? Są to po większej części nazwy rzeczy materyalnych, nazwy, które przeszły z kraju do kraju wraz z przedmiotami, zapożyczonemi drogą międzynarodowych stosunków. W polskim np. języku (dodajemy to od siebie) wyrazy służące do oznaczenia rzeczy zbytkownych, strojów i przyborów gotowalnianych pochodzą przeważnie z francuzkiego, jak: tużurek, frak, kok i t. d.; słowa zaś będące znakami narzędzi rzemieślniczych zapożyczone zostały po większej części od Niemców. Niekiedy współplemienne i graniczące ze sobą narody jedną i tę samą rzecz wraz z wyrazami — z dwu różnych zaczerpnęły źródeł, a dowody na to leżą w ich słownikowym skarbcu. Polacy np. używają oddawna wyrazu *fryzyer* (od fr. *friser*), który odpowiada pożyczonemu od Niemców rossyjskiemu słowu *parikmacher*; wskazówka ta jednak z całą ostróżnością winna być przyjmowana, jeśli zauważymy, że na oznaczenie rzemieślnika zajmującego się zewnętrznem zdobieniem głów ludzkich, jest w mowie niemieckiej ten sam co i w naszej, francuzki wyraz (Friseur). Częstokroć pożyczka danego słowa przedstawia się w językowem archiwum nie jako objaw potrzeby, lecz literackiej jedynie fantazyi; ma to miejsce wtedy, gdy mowa, obok cudzoziemskiego, posiada i swój własny symbol na wyrażenie danego pojęcia (np. *wizyta i odwiedziny*, *współzawodnik* i *konkurent*). Zwrócić w końcu trzeba uwagę na to, że pożyczka lingwistyczna bywa niekiedy bardzo znaczną i że tak powiem ryczałtową; wybitny przykład mamy na języku angielskim, który przyswoił sobie oddawna wiele wyrazów francuzkich, wskutek dokonanego niegdyś (r. 1066) przez Wilhelma Zdobywcę podboju, i co poszło za tem — zbliżenia się wzajemnego dwu narodowości.

Bądź co bądź podobieństwo, jakie zachodzi między sanskrytem a greczyzną, nigdy żadną pożyczką wyjaśnić się nie da. Pozostaje więc nam tylko przypuścić, że języki te mają wspólne źródło, wspólny początek. Ale jakże to sobie tłómaczyć? Czyżby w istocie przodkowie starożytnych Greków i brahmańskich cywilizatorów z nad Gangesu pędzić mieli razem żywot w pewnej przedhistorycznej dobie? Zuchwalstwem byłoby coś podobnego utrzymywać; historya bowiem przedstawia nam przykłady dziwnych wstrząśnień i kataklizmów. Należy tedy stanowczą położyć granicę między etnografią i antropologią z jednej, a lingwistyką z drugiej strony. Nie przodkowie zatem Hellenów i Hindusów z krwi i ciała, lecz przodkowie z ducha i mowy („lingwistyczni przodkowie" jak się wyraża R.) żyli kiedyś wspólnie. Stanowili oni jedną gminę, w dosyć ciasnych prawdopodobnie zamkniętą granicach; *w dosyć ciasnych* mówimy, gdyż pierwotny ustrój społeczeństwa nie zgadza się z pojęciem właściwych wyższej cywilizacyi wielkich kół lingwistycznych. Wymownie nas o tem przekonywa badanie gwar ludowych, które kwitną obok siebie na szczupłej stosunkowo przestrzeni.

(D. n.)

W imieniu Dzieci.

(Dokończenie).

Nauka języka obcego jest zmudna i niewesoła, dla dzieci rzadko przyjemna i rzadko też przez nie lubiona — ale jej korzyści oceniają się w praktyce życia, w epoce dojrzałości. Więc też rodzicom przystoi krzepić dzieci w pracy około języków, pilnować gruntowności tej nauki i siłą woli własnej przeprowadzać w porze właściwej, ażeby być pewnym, iż za to od syna lub córki słowa wdzięczności usłyszą później lub na serdeczną pamięć zasłużą. Drugim punktem w wychowaniu, wymagającym gwałtownej ze strony rodziców uwagi i poprawy, jest polepszenie fizycznego wykształcenia i uprawy tak zwanych talentów. Pod pierwszym względem koniecznie trzeba naśladować przykład Anglików i Niemców, którzy nie wahają się pilnie wdrażać swe dzieci do wszelkiego rodzaju wzmacniających ćwiczeń ciała. Jeżeli porównamy nasze, szczególniej miejskie wychowanie z sąsiedniem np. niemieckiem, uderzeni zostaniemy ogromną różnicą w wyobrażeniach, jakie nasi i niemieccy rodzice o wychowaniu dzieci mają. Dla wskazania wystarczy kilka przykładów. Idźmy np. w piękny dzień zimowy przy 3 lub 4° R. niżej zera do publicznego ogrodu, a znajdziemy tam mnóstwo bon i matek z dziećmi nietylko starszemi pięcio, sześciolatkami, ale i z młodszemi, a nawet zjawia się mnóstwo wózków z dziećmi drobnemi. W Niemczech bowiem, mianowicie w klasach zamożniejszych, mało się dzieci nosi a raczej wozi, co między innemi ma tę korzyść, iż dziecko kalectwu rzadko z powodu nieuwagi lub niezręczności służącej podlega. Takie dzieci są stosownie ubrane, ale nie za ciepło, aby przywykały zwolna i od młodości do zmian temperatury i różnic klimatycznych. Tak wychowana dziewczyna lub chłopiec w Niemczech przy 4, 6° R. niżej zera chodzą zwykle w letnim paltocie lub zarzutce, a futra są im znane tylko z wyłogów, jakiemi się naszywają stroje dam modnych. Nie można zaś powiedzieć, aby system taki odbijał się szkodliwie na stanie zdrowia ludności, przeciwnie daleko tu mniej zaziębień niż u nas, a przeciętna śmiertelność mniejsza. Rodzice niemieccy z wielką pilnością czuwają, aby ich dzieci uczęszczały do ogródków freblowskich, gdzie pobierają pierwsze początki wszelkich fizycznych ćwiczeń; następnie każdy Niemiec przebywa kurs gimnastyki, a że ta nie wykształca z nich zręczniejszych ludzi, to już ociężałości narodowej, piwu i knajpie przypisać należy. Niemniej zakłady gimnastyczne i turnerskie stowarzyszenia wywierają na zdrowie wpływ zbawienny. Istnieje też w Niemczech mnóstwo pokrewnych urządzeń nader pożytecznych i chwalebnych. Gdzie tylko jest choć kawałek stojącej lub bieżącej wody, tam w lecie zaraz urządzają szkołę pływania, a nadto spławiają całą flotylę małych łodek, poruszanych wiosłami. Dostarcza to nietylko przyjemnej zabawki, ale wyrabia zręczność, śmiałość w młodzieży płci obojej. Zimową porą stawy te i szkoły pływackie zmieniają się w szranki łyżwiarskie. Nigdzie łyżwiarstwo nie jest tak upowszechnione jak w Niemczech, nigdzie klasy wyższe i średnie nie oddają się tej zdrowej zabawie z większym zapałem. Wiadomo, jak fechtunek rozszerzony jest między studentami w Niemczech; a chociaż błazeńskie między niemi stowarzyszenia tylko pogardę obudzić mogą, sam fechtunek przykłada się do wyrobienia zręczności i zdrowia. Wszystkie te zakłady i wiele innych pokrewnych albo są dziełem stowarzyszeń, albo też po większej części przedsiębiorstwem prywatnem, utrzymującem się w stanie kwitnącym nizkością i przystępnością cen. Przystępność ta i nizkość cen dla tego jednak jest możliwą, że tam rodzice nie żałują ponieść pewnego wydatku dla dziecka; ztąd mimo ceny nizkiej, liczba uczestników opłaca przedsiębiorcy jego trudy i ryzyko. Nareszcie każdy zakład, jeśli jest stosownie urządzonym, nie traktuje się jako dogodzenie przemijającej modzie, ale może liczyć na trwałość i rozwój, pewny wytrwałego poparcia ogółu. Z tych przyczyn wykształcenie fizyczne dla dzieci jest łatwe i nie kosztowne. Toż samo ma miejsce z uprawą tak zwanych talentów, które uprzyjemniają życie towarzyskie a częstokroć są źródłem wielkiej dla samych siebie przyjemności i nawet korzyści. Pod tym względem o wiele stoimy niżej od zeszłego pokolenia. Ojcowie nasi przy staranniejszem nieco wychowaniu zawsze posiadali albo muzykę, albo śpiew, albo rysunek. Tymczasem dziś panuje w wychowaniu pewna surowość, pe-

wne lekceważenie owych talentów, dla chłopców mianowicie; a jednak środki naukę ułatwiające stały się daleko przystępniejsze, tańsze.

Polepszenie tych trzech kierunków uważamy za konieczne w wychowaniu domowo-pensyonatowem, domagamy się tego w imię przyszłości młodego pokolenia. Ale nie tu się żądania nasze zamykają; spełniając obowiązek względem własnych dzieci, nie zwalniamy się od spełnienia go względem *ogółu* młodzieży, a szczególniej dzieci. Zadośćuczynienie tym obowiązkom ogólnym przedstawia jeszcze tę korzyść, iż wspólnie, łącznie da się przeprowadzić wiele pomysłów, z których i nasze dzieci korzyść odniosą. Dla czego nie mamy w sobie obudzić tego poczucia łączności i ofiarności na polu wychowania, uczucia, które, jak powiedzieliśmy, tak silnie działa w Anglii. My mamy nawet wyższe, świętsze powody ku temu, a przy dobrej woli, chęci, wytrwałości nie widzimy na tej drodze zbyt ważnych przeszkód.

Dla czego np. w interesie naszego języka wybitni członkowie świata uczonego nie mają urządzić szeregów prelekcyj dla młodzieży i posuniętych w naukach dzieci? Zdaje nam się, iż przed kilku laty nieboszczyk Pęczarski probował urządzić szereg odczytów z fizyki w zakładzie p. Pika; lecz zamiar ten nie został należycie ogłoszony, przez prasę poparty, a przez ogół rodziców zrozumiany. W ogóle bowiem ten ogół rodziców bardzo często, nawet skromnych wydatków, wychodzących po za zakres kosztów szkolnych, skąpi—mianowicie dla nieco starszych dzieci. Jeszcze dla maleńkich, na zabawki, raz w rok, znajdzie się parę rubli, ale dla starszych bardzo jesteśmy oszczędni. Dać np. rubla, całkowitego rubla, na abonament szeregu prelekcyj dla młodzieńca, chodzącego do trzeciej klasy, uważa się za zbytek niepotrzebny. On się i tak uczy, a więcej mu niepotrzeba — oto odpowiedź. A jednak takie prelekcye prywatne byłyby, mianowicie teraz, potrzebne. Jakże one ważny cel mają! Obznajmiać młodzież z terminologią naukową rodzinnego jej języka, utrzymać łącznik między obecnym czasem a naukową naszą przeszłością, rozwinąć, mianowicie w młodzieży z domowego wychowania, poszanowanie dla różnych gałęzi wiedzy i wiarę w potrzebę nauki — wszystko to cele godne czynnej pracy najlepszych sił w naszem społeczeństwie. Niestety jednak, pisząc te wyrazy, jakże mało mamy nadziei być wysłuchani! Nasi uczeni, powiedzmy to szczerze, żyją w zbyt dalekiem od społeczeństwa odosobnieniu. Nie śmiemy ubliżać ich nauce, ale częstokroć ona tak wygląda, jak mumia owinięta w zwoje papirusów. Ciepła, życia tam brak, chociaż się dużo i o nauce i o chrześciańskich... a raczej katolickich uczuciach... rozprawiać zwykło. Niechże więc mniejsi, skromniejsi, nie oglądając się na owych na ołtarzu siedzących wśród dymu kadzideł mężów, urzeczywistnić się starają myśl naszą choć na skromną skalę. Gdyby nawet, przetłomaczone i stosownemi doświadczeniami objaśnione odczytano prelekcye Tyndala, jużby korzyść była ogromna. A takich materyałów w obcej naukowej literaturze znalazłoby się wiele, że tylko wspomnimy prace Lachery'a, Belfour Stewarta, Bernsteina, Wagnera i innych. Jakże wiele też jest przedmiotów, blizko nas obchodzących z dziedziny historyi, literatury, sztuk, które młodemu pokoleniu należałoby ukazać. Na tem polu praca wdzięczna i miła, a po zwyciężeniu pierwszych trudności niezawodny rozwój.

Ułatwiając naukę zamożniejszym, bodaj czy nie pilniej trzeba by ją *umożliwić* dla tych, którym los odmówił środków kształcenia się. Mówimy tu o dzieciach biednych rodziców, uczęszczających do szkół elementarnych i niższych klas gimnazyów. Dotąd społeczność nasza tyle tylko czyniła, iż z gorącem, sobie właściwem poczuciem spieszyła liczniej na koncerta, urządzane na korzyść studentów uniwersytetu, mniej licznie na korzyść uczniów gimnazyalnych. A czy to już wszystko? A ta drobna dziatwa po szkołach elementarnych, czyż pomocy nie potrzebuje? czyż jej nie brak odzieży, obuwia, książek, a częstokroć łyżki ciepłej strawy w klimacie przez długie miesiące mroźnym, jak nasz? Ileż tam zdolności, ileż chęci do nauki marnieje w zarodzie, dla braku pomocy, współczucia, ciepłych bucików lub ciepłego serdecznego słowa? We wszystkich już krajach pozakładano towarzystwa opieki nad dziećmi w szkołach elementarnych, tylko u nas, co się arcykatolickiem zwiemy społeczeństwem, tak leniwo do tak świętej bierzemy się rzeczy. Dla czego? bo nam brak drugiego Marcinkowskiego, któryby bez grosza, ale z olbrzymią w świętość zadania wiarą do dzieła przystąpił. Powiedzą nam zapewne na nasz zarzut, iż naprzód trzeba zyskać pozwolenie władzy. Zapewne, wiemy o tem dobrze i nawet to wiemy, iż przed kilku laty dyskutowano u nas w pewnem kole o potrzebie podobnego stowarzyszenia, że się wywiadywano, czyby rząd na nie zezwolił. Lecz zdaje nam się, iż wśród zachodów i starań o zapewnienie sobie protekcyi, zapomniano o najprostszem wystąpieniu z podaniem gdzie należy, jasno wykładając cel stowarzyszenia i poddając się pod te kontrole, jakie władza nałożyć za stosowne uzna. Dopóki taka próba nie będzie zrobiona, nie uwierzymy, aby zamiar był do wykonania niemożliwym. Zresztą takim stowarzyszeniom nie należy nadawać zbyt rozległych rozmiarów. Nawet tam, gdzie, jak w Anglii, istnieje wolność nieograniczona stowarzyszania się, nie mają one rozległości dla tego, że są obliczone na bezpośrednią działalność członków. Dowiedzioną to rzeczą, iż centralizacya stowarzyszeń dobroczynnych jest raczej szkodliwą niż pożyteczną, gdyż w takim razie zarząd nie może być bezpłatnym, a administracya pochłania znaczną część ofiar, które tym sposobem chybiają swego przeznaczenia. — Jeżeli więc nie naznaczymy zbyt obszernych rozmiarów stowarzyszeniom, oraz wyrzekniemy się ich centralizacyi, to trudno przypuścić, aby się nie udało u nas zaprowadzić tej dobroczynnej instytucyi, która tak dzielnie przykłada się do wykształcenia najbiedniejszych klas narodu i najmniej nawet zamożnym daje środki ratunku. Sprawa ta jest dla Warszawy i dla innych miast Królestwa nadzwyczaj pilną i nie ma żadnej potrzeby odkładać jej *ad calendas graecas*, a tocząca się wojna niczem staraniom nie przeszkadza. Owszem, po wojnie wiele rodzin zostanie osieroconych, a dzieci wymagać będą pomocy, na co rząd zważając, pewno właściwego pozwolenia nie odmówi.

Wskazaliśmy tu w imieniu zamożniejszych i najuboższych dzieci dwie potrzeby, które stoją na porządku dziennym i od inicyatywy prywatnej a ofiarności ogółu załatwienia wymagają.

Zostaje nam jeszcze do rozpatrzenia kwestya wiejskich ochronek dla dzieci, sprawa udziału inteligentnego ogółu w szkole wiejskiej. Obie ściśle się z sobą łączą i stanowią dla naszego kraju jedno z ważniejszych zagadnień, które bez względu na politykę nie powinno schodzić z porządku dziennego. Obszerność jednak zadania zmusza rozbiór odłożyć do przyszłego artykułu.

Tymczasem zaś uwagi nasze pragnęlibyśmy polecić względom rodziców i gronu ludzi zacnych, pragnęlibyśmy ich gorącem słowem pobudzić do czynu, na korzyść tej najdroższej spuścizny, jaką przekażemy światu, na korzyść dzieci!

Z prowincyi.

VIII.

Piszą do nas z *Sandomierskiego*: „W dniu 2 maja pożar zniszczył w miasteczku niegdyś, a obecnie osadzie Klimontów czterdzieści kilka domów, oprócz zabudowań gospodarskich, jak: stodół, chlewów etc., przy domach mieszkalnych od małego miasteczka nieodłącznych. Ogień wybuchł w południe z niewiadomej, jak zwykle, przyczyny — a szerząc się dwoma naraz ulicami w przeciwnych kierunkach, niszczył wszystko, cokolwiek na drodze swojej spotkał, póki wreszcie nie trafił z jednej strony na rzekę i łąki, gdzie już budynków nie było, a z drugiej na niespodziewany w naszej Sandomierskiej ziemi opór. Idąc pierwszym kierunkiem, pochłonął czteroletnie dziecko, które krzykiem niby ratujących spłoszone, schowało się pod łóżko sąsiedniego domu i tam śmierć znalazło — idąc drugim — dał nam sposobność przekonania się, co może zdziałać dobra wola, energia i znajomość odpowiedniego użycia sił pod ręką będących. Tu pracowała sikawka Noela z sąsiednich dóbr Górki, przez hr. Karolinę Ledóchowską przysłana wraz z rządzcą, odpowiednią ilością ludzi, bosakami, łopatami i furami do wożenia wody. Dzielny rządzca p. Hawranka, niegdyś podobno oficer wojska austryackiego, tak energicznie ludzi do szturmu poprowadził, iż w ciągu dwóch godzin stał się panem położenia, to jest zdusił ogień w tem miejscu, w którem go z sikawką zastał i tym sposobem ocalił resztę czwartej ulicy od niezawodnego zniszczenia. Godne było widzenia, z jaką ochotą jego ludzie rzucali się z bosakami na płonące budynki, docierali z sikawką w miejsca najniebezpieczniejsze pomimo szalonego żaru, a z jaką obojętnością publiczność miasteczka przyglądała się pożarowi. Nasz poczciwy chłopek tylko upatrywał, ażali nie da się co uprzątnąć przy ogólnym chaosie, bo wszystko (jak jeden ze schwytanych na gorącym uczynku powiedział) w chałupie się przyda, do ratunku zaś zupełnie się nie brał.

Jako przypadkiem przejeżdżający przez palącą się ubogą osadę, widziałem, że tam gdzie jaki taki był kierunek, pomoc podana była dobrze użyta, tam zaś gdzie wszyscy wszystko ratowali, gdzie wszyscy rządzili, doradzali (a tych było najwięcej) wszystko, co było do spalenia — spaliło się; pomimo tego nawet, że jedna z wysoko pobożnych niewiast Klimontowa kropiła palące się domy wodą święconą. Czyby więc nie było właściwem, ażeby ci, co biorą wynagrodzenie za różne urzędy: jak np. wójci, pisarze gminni i kasyerzy bez kas i t. d. — bo kto ich zliczy, stawali na czele pewnej liczby ludzi, pragnących się poświęcić ratunkowi palącej się osady?

Sikawka gminna stała wprawdzie przy stawie, ale do gaszenia pożaru jej nie użyto, niewiadomo dla czego — czy dla tego, że jest tak zła, iż jej użyć nie można, czyli też dla tego, iż brak urzędników gminnych przy pożarze taki strach nad sikawką rozpostarł, iż jej ruszyć obawiano się.

Pracowało tylko cztery konie ciągnące po jednej beczce z wodą, którą wylewano konewkami i miskami na palące się domy; to była jedyna siła miejscowa, którą wspierał ekonom sąsiedniej wioski bardzo energicznie.

Spalone budynki należą tu przeważnie do chrześcian, sąsiedni właściciele obawiając się, ażeby przez jaką zawiść lub wypadek ogień nie dostał się do zabudowań żydowskich i w nocy nie zechciał powtórzyć jeszcze gorszej awantury, sami utworzyli dobrowolnie straż, która się składała z wła-

ścicielki sikawki Noela, z wyższego urzędnika akcyznego i z właściciela sąsiedniej wsi Pęcławice. Ta straż, chodząc po dogaszających zabudowaniach, udzielała zasiłki, wyszukiwała tymczasowe pomieszczenie i czuwała nad ostatecznem stłumieniem gdzieniegdzie jeszcze drgającego ognia, co przeciągnęło się do godziny czwartej rano. Oto jest dowód, jak obywatele niektórzy umieją pełnić swoją powinność sumieniem nakazaną; było tam i więcej z tej klasy osób, lecz ci, pewnie zajęci notą lorda Salisburego, najspokojniej z papierosami w ustach pomiędzy palącemi się budynkami chodzili. Byli wreszcie i tacy, którzy przez wzgląd na rękawiczki lub kamaszki narażać się nie chcieli".

POLEMIKA [1]).

Ponieważ krytyczny pogląd p. J. J. B. w Nr. 22 *Przeglądu Tygodniowego* rozpoczyna się obwinieniem mnie i innych lekarzy za to mianowicie, że nie czekając na ukończenie się procesu samorodztwa w naszym kraju teoryj specyalnych, wyczerpujących systematycznie i całkowicie wszystkie przedmioty wiedzy przyrodniczej, a następnie na upowszechnienie ich popularne przez uprzywilejowanych literatów, ośmielili się szukać podobnych teoryj w dziełach cudzoziemców, i streściwszy je, podawać naszej publiczności jako środek najskuteczniejszy przeciw wszelkim społecznym wadom cielesnym i moralnym; zmuszony jestem odwołać się do sądu tych czytelników dziełka mojego *Siła i Materya*, którzy przejrzeli je z większą uwagą i przygotowaniem aniżeli p. J. J. B. A mianowicie—aby zadecydowali, która z prac trojakiej kategoryi zasługuje najbardziej na nazwę niesumiennej: czy mozolna praca określonych wyżej lekarzy, wydana własnym ich nakładem, czy wiedza naszych uczonych przyrodników, utrzymująca się w umyśle lub tajnikach ich gabinetowych, albo też praca p. J. J. B., który z góry przez pół roku nie zdobył się na pilniejsze przeczytanie wzmiankowanego dziełka, chociaż redakcya wynagradza za to sowicie? Tacy czytelnicy, pojmując, że lekarzowi najłatwiej postrzedz potrzebę upowszechnienia wyżej wzmiankowanych pojęć o istocie i stosunku człowieka do świata zewnętrznego, podziwiać nie będą—dla czego przeważnie lekarze biorą się wedle możności do ich upowszechniania, lecz mogą podziwiać, dla czego specyalni przyrodnicy, posiadając czas i wszelkie środki ku temu, używają je na inny cel, albo na poszukiwanie takich fakcików pozytywnych, które, trwając do zupełnego ukończenia się cyklu formacyi naszego systemu słonecznego, nie doprowadziłoby do ogólnych pojęć o istocie i ożywianiu wszechbytu.

Choć minęły już czasy, gdy nauka była osobistym skarbem ludzi wybranych, i nastał czas—że wymaga stosowania do bytu społecznego, chociaż p. J. J. B. twierdzi—że przyrodnicy nasi specyalni wstydzą się, iż lekarze wyręczają ich w obowiązku społecznym; jednakże nie myślą nawet o zaprowadzeniu pracowni, towarzystw i organów przyrodniczych, korzystnych dla ogółu. Przeciwnie okazują się tak zazdrosnymi w pracy naukowej, że zbierając skrycie jej owoc, nie chcą lub nie mogą wskazać innym świeżych źródeł wiadomości naukowych. Niektórzy z nich cytują mnóstwo dzieł i autorów, przy każdem zdarzeniu, a gdy przyjdzie do bliższej oceny głównych zasad tych teoryj, zbywają omówieniem niepojętem; o czem miałem sposobność przekonać się osobiście, zbierając materyały do dziełka w mowie będącego.

Gdyby p. J. J. B., nie maskując naukową swoją wstydliwością innych słabości, zechciał był zwrócić uwagę na główny cel tego dziełka, postrzegłby, że nie jest nim wykład elementarny fizyki, chemii, geologii, botaniki, zoologii, anatomii, fizyologii i t. p. przedmiotów, przeznaczony dla malców wstępujących do gimnazyalnych zakładów lub dla ludzi nieposiadających zgoła żadnych zasad naukowych; lecz wyjaśnienie porównawcze rozmaitych odmian ruchu drabinowego, przedstawiających się w postaci sił fizycznych i organicznych, ludziom mniej więcej obeznanym z naukami przyrodniczemi. Pojąłby przytem—że w razie przeciwnym treść tego dziełka zajęłaby nie 2, lecz przynajmniej ze 20 tomów; a zatem nie mogłoby nosić ogólnej nazwy *siła i materya* i podzielone byłoby na przedmioty specyalne. Zresztą, omijając niesłuszne zarzuty niesystematyczności, wyrazy potępienia i pogardliwej maltretacyi tego dziełka, oraz zarzuty co do nieudolności mojej umysłowej i fizycznej, nieznajomości elementarnych zasad naukowych, pisowni, gramatyki, etc., zwracamy tylko uwagę—że p. Zoil nie widząc nawet potrzeby sprawdzić — czy treść mego dzieł a uzasadniona jest na pracach naukowych, w niem wskazanych, zarzuca mi wprost jakieś bajeczne i szkodliwe urojenia, opierając się na faktach następujących:

1) Że jakobym we wstępie na str. 11—twierdził—*iż szybki rozwój oświaty i cywilizacyi społecznej miał prowadzić do również szybkiego rozwoju politeizmu.* Gdy na oznaczonej stronicy powiedziano tylko: Baminizm ówczesnych narodów w ogóle zmierzał powolnie do politeizmu, z wyjątkiem Grecyi, gdzie politeizm napotkawszy najprzyjaźniejsze warunki, rozwijał się szybko. Położenie kraju i decentralizacya zarządu Greków sprzyjały nietylko wzrostowi dobrobytu materyalnego, lecz zarazem szybkiemu rozwojowi oświaty i cywilizacyi społecznej. Pojmując tak opacznie te zdania, nietrudno było p. J. J. B. zamienić znaczenie pojęć o sile i materyi ze względu *metafizyczno-filozoficznego* na *metafizyczno-przyrodnicze.*

2) Przeczytawszy z uwagą rozdziały, traktujące o przyciąganiu i ciążeniu powszechnem, oraz zdania Secchiego i moje o redukcyi wszystkich odmian ruchu drabinowego do dwóch głównych jego odmian: ciśnienia dośrodkowego i parcia odśrodkowego, uważanych za główne siły twórcze wszechrzeczy—zapewnie nie policzyłby mi za tak ważny błąd naukowy tego, że uważam prawa Keplera jako odnoszące się również do ciążenia czyli spadania ciał, jak do ruchu planet około słońca; bo na czemże polega ten ruch planet, jeżeli nie na ciążeniu czyli ciśnieniu dośrodkowem otaczającego planety środka i na oporze środka otaczającego słońce? Nie jestem wyznawcą ślepej wiary w dogmat Newtonowskiego ciążenia, nie wierzę bowiem w możliwość, aby materya posiadała razem tak sprzeczne zasadnicze własności—jak *bezwładność* i *ciążenie* czyli *przyciąganie.* Newton i inni przyrodnicy nie wyjaśnili rzeczywistej istoty *ciążenia*, nie mogę przeto zrzec się swego na nią poglądu jedynie dla tego tylko, aby nie narazić p. J. J. B. na wstyd przed zagranicznym areopagiem naukowym.

3) Co do pisowni *Gericke* zamiast *Hericke*, nie będę się sprzeczać z p. J. J. B., ale i tłómaczyć się nie myślę, z jakich mianowicie dzieł lub z pamięci cytowałem nazwiska wielu dawniejszych przyrodników; nie mając bowiem na widoku historycznego postępu wszystkich gałęzi wiedzy przyrodniczej, nie trzymałem się systematyki chronologicznej. Zeznaję także, że wkradła się omyłka w druku co do nazwiska *Kirchhoffa;* lecz niesłusznem jest żądanie pana J. J. B. co do zamiany nazwisk *Briot* i *Poinsot* na *Biot* i *Poisson*, gdyż są to nazwiska czterech osobnych przyrodników.

4) Przystępując do szczegółowego określenia sił fizycznych, nie zdobyłem się na wykrycie nowych ich odmian i dla tego w rozdz. I tomu I streściłem główniejsze zasady o *dźwięku* według teoryi Tyndalla i Ferneta: poczynając wyjaśnieniem tworzenia się i szerzenia fal dźwięcznych w zamkniętem w rurach lub kanałach i wolnem powietrzu i przechodząc stopniowo od drgań powolnych do szybkich rozmaitych ciał brzmiących — jak sznurki, struny, pręciki, deszczułki, dzwon i ciecze, dalej przeszedłem do drgań kolumny powietrza w rozmaitych rurkach, w instrumentach muzycznych dętych i innych rezerwoarach. Na nieszczęście streszczenie to okazało się p. J. J. B. tak nieudolnem, że nie mógł on, mimo najszczerszej chęci, nietylko pojąć istoty dźwięku, ale nawet *kierunku rozprzestrzeniania się* dźwięku względnie do kierunku tych drgań. Arbitralna dysputa z p. Zoilem nie wyjaśniłaby głównej przyczyny — dla czego nie mógł on pojąć tego kierunku; a zatem zwracam się znowu do czytelników, aby rozstrzygnęli, czy moja lub p. J. J. B. nieudolność stanęła głównie temu na przeszkodzie?

W następnych rozdziałach tegoż tomu streściłem główne objawy innych sił fizycznych według teoryi Secchiego; p. J. J. B., nie zwracając na to uwagi, maltretuje to streszczenie i wskazuje mi tę samą teoryę.

5) Co do wyrazu *skupienie* pierwiastków materyi zamiast *gęstość*, używałem go dla tego, że według, mego poglądu na związki jej pierwiastków, wyraz ten okazuje się stosowniejszym do oznaczania tego ich związku, który zostaje w antagonizmie z *rozrzedzaniem się* czyli odosobnianiem się i rozpraszaniem pierwiastków. Używania tego wyrazu, również jak *amortyzacyi tonu* zamiast jego *znoszenia*, albo *widma* zamiast *obrazu przedmiotów*, nie narzucam nikomu; a że są zrozumiałe dla każdego, kto pojmuje amortyzacyę kapitału lub widmo słonecznych promieni, nie stanowią przeto ważnego naukowego błędu w mojej pracy, którą p. J. J. B. maltretuje tak złośliwie.

Sprostowawszy o ile można łaskawe względy p. J. J. B., zwracam się z błagalną prośbą do niego najprzód—aby wskazał miejsce, w którem dowodziłem *o kierunku momentu bezwładności*, a następnie aby raczył uwydatnić swoje pojęcia o istocie tego momentu i siły w ogóle; gdyż niektóre jego zarzuty przemawiają za konserwatyzmem dualizmu co do istoty siły i materyi, pomimo nadzwyczajnych zdolności, jakiemi się cechuje cała treść krytycznego jego poglądu.

J. Chwiećkowski.

[1]) Ponieważ pismo nasze jest areną swobodnej wymiany myśli i opinią swoich współpracowników innym ust zamykać nie chce, pomieszczamy więc obecną odpowiedź autora na zarzuty naszego sprawozdawcy.

KRONIKA POWSZECHNA.

Krajowa.

Oświata i szkoły.—Drukarnia p. Kohna i Oderfelda w Częstochowie zamierza wydać cały szereg książeczek dla ludu, których cena będzie oznaczona jak najtańsza, zaledwie po kilka kopiejek. Redakcya tego wydawnictwa powierzoną została p. Bronisławowi Grabowskiemu. Wyszło już 6 broszurek.

Odczyty.—Pan Wojciech Gerson, na mocy zezwolenia naczelnika kraju, mieć będzie w sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych lub w Resursie Obywatelskiej 20 odczytów publicznych: *O teoryi i historyi sztuk pięknych.* Opłata za wejście oznaczoną została od członków Towarzystwa na kop. 5, od niecz łonków na kop. 15.

Prasa peryodyczna. — *Dziennik Warszawski* podaje następujące zestawienie statystyczne, wykazujące ruch prasy książkowej i gazetowej w mieście naszem w roku 1877. W roku tym wydano 1,132 książek w 1,659,467 egzemplarzach, mianowicie: 10 elementarzy w 48,335 egzemp., 36 dzieł z językoznawstwa w 86,637 egz., 175 utworów literackich w 48,960 egz., 32 dzieła z dziedziny filozofii i pedagogiki w 84,970 egz., 134 dzieł teologicznych w 656,962 egz., 22 dzieła z etnografii i statystyki w 38,470 egzemp., 60 dzieł historycznych w 32,780 egz., 83 z dziedziny prawa i ekonomii politycznej w 84,051 egz., 2 dzieła matematyczne w 1,400 egz., 40 dzieł z agronomii i technologii w 46,340 egz., 36 z nauk przyrodniczych w 21,185 egz., 75 utworów muzycznych w 32,000 egz., oraz mapp geograficznych, rysunków, litografij i t. p. wydano 426 w 120,997 egz. Gazet i dzienników w Warszawie w r. z. wychodziło 57. Z nich według urzędowego przybliżonego obliczenia *Kuryer Warszawski* drukował się w liczbie 12,000 egz., *Kuryer Codzienny*, i *Tygodnik Illustrowany* w 6,000 egz., *Gazeta Warszawska*, *Bluszcz* i *Kuryer Świąteczny* w 4,000 egz., cztery gazety w 3,000 egz., szesnaście w 1,000 — 2,800 i dwadzieścia pięć drukowało się w mniejszej liczbie od 1,000 egz. Cyfry te oparte są na podaniach, uczynionych przez same redakcye gazet.—Jeden z byłych współpracowników dzienników tutejszych, obecnie zamieszkały w stolicy Cesarstwa, uzyskał pozwolenie od rządu na wydawanie tamże gazety bez uprzedniej cenzury.—Gazeta *Przemysłowo-Rzemieślnicza* porusza ważną kwestyę udzielania pożyczek, spłacanych ratami, jako pomoc dla mniej zamożnych rzemieślników.

Wiadomości literackie.—*Sprawy Wołoskie za Jagiellonów.* Dzieło, które pod powyższym tytułem opuściło prasę, stanowi tom X Źródeł Dziejowych, wydawanych staraniem profesora Pawińskiego. Pomieszczone tu są akta i listy. Całą rzecz wydał i obszernym szkicem historycznym poprzedził Aleksander Jabłonowski. Szkic zawiera stronnic 164. Akta i listy zawierają stronnic 156. — Zeszyt XVIII ty wydawnictwa pp. adwokata Antoniego Pileckiego i Stanisława Kowalskiego, p. t. *Prawo i Sądy — Wskazówki praktyczne dla nieprawników*—wyszedł z druku i zawiera następujące artykuły z dziedziny postępowania w sprawach cywilnych: W jaki sposób odbywa się wykonanie wyroku, wydanego przez władze sądowe mocarstw zagranicznych.—Ogólne przepisy, dotyczące spraw władz rządowych. — O postępowaniu w sprawach wynikłych z umów o entrepryzy, dostawy, tudzież dzierżawy dobr rządowych. — O postępowaniu w sprawach, wynikających z przywłaszczenia majątku lub zakłócenia posiadania. — W jaki sposób dochodzą się straty, poniesione w skutek nieprawnych czynności sędziów, prokuratorów i innych urzędników sądowych. Na okładce: informacye o adwokatach i obrońcach.

Sprawy społeczne.—Spółka udziałowa do rozwożenia artykułów żywności po mieście już się zawiązała. Kapitał spółkowy rozdzielony został na 200 udziałów po 500 rs. każdy, czyli razem na sumę 100,000 rs. Czynności spółki rozpoczną się prawdopodobnie od 1 lipca r. b. Za rozwożenie po mieście zarząd pobierać będzie komisowego 5 kop. od rubla, czyli 5%. Opłata ta jednak, choć pozornie dość duża, w praktyce nie pociągnie za sobą podwyższenia ceny produktów żywności, owe 5% bowiem z pewnością odzyskane zostaną przy zakupywaniu artykułów żywności en masse, t. j. że dostarczany towar pomimo 5% komisowego będzie prawdopodobnie tańszy, aniżeli nabywany detalicznie na targach. Przykład Odessy, gdzie spółka tego rodzaju funkcyonuje od 10 miesięcy z wielkim pożytkiem, daje rękojmię powodzenia nowemu przedsiębiorstwu.

Sprawy sądowe. — Sąd Okręgowy Piotrkowski podzielił w tych dniach swój okręg na 12 oddziałów śledczych. Zwiększenie liczby i zmniejszenie obszaru oddziałów przyniosło wielką ulgę inkwirentom sądowym, na barkach których leżał dotychczas zbyt wielki nawał zajęć.

Reformy.—Gazety rossyjskie donoszą, iż do ustawy uniwersyteckiej ma być włączony przepis, ażeby każdy ze studentów Uniwersytetu był uwalniany od opłaty wpisu, jeżeli tylko zobowiąże się po wyjściu z Uniwersytetu odsłużyć w którejkolwiek z dykasteryj rządowych po pół roku za rok uwolnienia od opłaty. — Nowa reforma sądowa nakazała zmienić

sposób proceduralny przy egzekwowaniu przypadających towarzystwu należności. Uchwały owę przedstawiono pod zatwierdzenie władzy prawodawczej. Otóż w d. 27 maja przez Najwyższy Ukaz do Senatu Rządzącego zatwierdzone zostały owe zmiany pomienioną uchwałą objęte.—*Niediela* podaje w formie pogłoski, że sprawy o przestępstwa polityczne, które rozpatruje obecnie Senat, mają być powierzone juryzdykcyi Izb Sądowych.

Handel i przemysł.—Stal i żelazo uledz mają nowym opłatom celnym, opłaty te mniejsze będą od dotychczasowych.

Komunikacye.—W tych dniach zatwierdzono projekt zaprowadzenia kilku linij telegraficznych w gubernii Płockiej, które uzupełnią komunikacyę telegraficzną pomiędzy wszystkiemi naszemi miastami powiatowemi. Oto wykaz nowych linij: z Lipna do Rypina wiorst 47, z Lipna do Sierpca wiorst 33, z Przasnysza do Ciechanowa wiorst 23. Nadto postanowiono pobudować niezwłocznie następujące dwie linie nowe w gubernii Łomżyńskiej: z Ostrołęki do Ostrowia wiorst 38 i z Łomży do Kolna wiorst 27. — Zarząd drogi żel. Warszawsko-Wiedeńskiej zamierza podobno do pociągów spacerowych zaprowadzić u siebie wagony piętrowe z otwartem na wierzchu siedzeniem, używane z takiem powodzeniem na wielu drogach zagranicznych, a zwłaszcza przy pociągach spacerowych.

Dobroczynność. — Wybory kaliskie do władz Tow. Kred. Ziemskiego, zakończone zostały dobrym uczynkiem ze strony stowarzyszonych, z wiedzą bowiem gubernatora złożono 250 rs., przeznaczone na tegoroczne wpisy dla niezamożnych uczniów szkół miejscowych, urodzonych w gub. Kaliskiej.

Sprawy miejskie. — Wkrótce ma być otwarty dla użytku publiczności ogród pomologiczny, egzystujący w stronie folwarku Świętokrzyskiego, t. j. przy ulicy Nowogrodzkiej, lecz tylko dwa razy tygodniowo, a to w poniedziałki i czwartki od godziny 2 do 7 z południa.—Ministeryum Spraw Wewnętrznych w tych dniach zatwierdziło ostatecznie projekt tramwayów dla miasta naszego. Techniczna strona projektu dawniej już była rozpatrzoną i pozyskała potrzebną sankcyę — urzeczywistnienie zaś opóźniało się głównie z powodu trudności unormowania finansowych zobowiązań przedsiębiorców względem kasy miejskiej. Ministeryum ostatecznie odrzuciwszy proponowane odsetki od dochodu czystego z tramwayów osiągnąć się mającego, postanowiło, aby przedsiębiorca wnosił do kasy miejskiej pewien procent od dochodu brutto. Oddanie tramwayów w ręce przedsiębiorców dopełnione będzie na tej zasadzie drogą konkurencyi, w czem jednak Magistratowi przysługiwać ma prawo wyboru pomiędzy współubiegającymi się. Wobec tego budowa tramwayów w bardzo już niedługim czasie dojdzie do skutku, czem Warszawa stanie na równi z innemi wielkiemi miastami Europy, oddawna już użytkującemi z tego tak prostego a praktycznego pomysłu najnowszych czasów.—*Lodzer Zeitung* dowiaduje się, że straż ogniowa łódzka została zatwierdzoną. Niemniej nadeszła decyzya zatwierdzenia jeszcze 4 latarń gazowych. — Lublin pod względem sanitarnym podzielonym został na 4 rewiry, odpowiadające czterem rewirom policyjnym. Domy, podwórza, miejsca ustępowe, rynny, ścieki, mają podledz protokólarnemu obejrzeniu przez wydelegowane ad hoc komisye. Rezultaty rewizyi przedstawione będą właściwej władzy. Również w celu sanitarnym pp. Rusyan as. farm. i Szulc aptekarz, dokonać mają rozbioru wody w studniach.

Teatr. — Panna Deryng powróciła już z urlopu, w czasie którego występowała w dziewięciu rolach gościnnych na scenie lwowskiej.

Sztuki piękne.—Do albumu artystycznego dla J. I. Kraszewskiego malarze nasi zaczynają już nadsyłać swe prace. Henryk Siemiradzki zaofiarował szkic olejny zatytułowany *Hypathos*, podług powieści *Caprea* i *Roma*. Szkic ten ma posiadać wszystkie zalety twórcy *Świeczników Chrześciaństwa*. Innych prac już się nazbierało kilkadziesiąt—obiecanych też jest dużo. Pan Wojciech Gerson zrobił rysunek do okładki albumowej: pośrodku popiersie jubilata, w narożnikach postacie alegoryczne poezyi, malarstwa, rzeźby i architektury. Okładkę podług tego rysunku wykona jeden z tutejszych rzeźbiarzy w wypukłorzeźbie na drzewie.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Niespodziewane, przez żaden rozum, przez żadną wróżbę nieprzepowiedziane wypadki uderzają co chwila niby gromy z zachmurzonego nieba Europy. Ledwie opamiętaliśmy się po zamachu na życie cesarza Wilhelma, aż tu znowu przybiega wiadomość, że monarcha pruski zdał rządy swojemu synowi. Wprawdzie urzędowy akt mówi tylko o zastępstwie ojca przez syna, ale wiemy z doświadczenia, że tak się często zaczyna istotna abdykacya. Cesarz Wilhelm jest chory, ale nie śmiertelnie i może nie dłużej pozostanie w łóżku jak kilka tygodni; na tak krótki więc czas nie ustanawianoby regencyi, gdyby ona niezależnie od słabości nie była potrzebną. Motywa jej są tak zrozumiałe, że nie potrzebujemy ich szczegółowo wyjaśniać. Monarcha pruski, dwukrotnie obrażony, nie może i nie chce dalej rządzić. Zmiana ta wywołała silne wrażenie w całych Niemczech. Nie dla tego, że zapowiada jakieś poważne, na losy kraju wpływowe następstwa, ale że jest wypadkiem niezmiernie nagłym, wcale nieprzewidzianym.

Gazety starają się uzupełnić zebrane dotąd wiadomości o osobie i stosunkach sprawcy drugiego zamachu. Odkryto podobno, że w przeddzień wypadku w łonie socyalistów angielskich objawił się jakiś niezwykły ruch, który znamionował przygotowującą się gdzieś katastrofę. Naprowadza to władze śledcze na wniosek, że zamach nietylko był dziełem socyalistycznego, ale nadto międzynarodowo-socyalistycznego sprzysiężenia. Że zaś istnienie takiego związku staje się groźnem dla wszystkich rządów, więc mają być rozpoczęte obrady nad powstrzymaniem i zniszczeniem tego żywiołu.

Podsądny, młody dr. fil. Nobiling, który skutkiem usiłowania odebrania sobie życia, jest ciągle nieprzytomny, nie daje dostatecznych odpowiedzi na zadawane mu pytania. Ci, u których wynajmował mieszkanie w Berlinie, przedstawiają go jako człowieka pracowitego i oszczędnego. Uczęszczał na kilka uniwersytetów — w Halli, Lipsku, Berlinie. Studyował w domu całemi dniami, do późnej nocy. W obejściu szorstki, zdawał się być zajęty tylko naukowemi badaniami. Często podobno odzywał się, że nie podziela radykalnych teoryj socyalizmu i że bardziej mu przypada do gustu stanowisko narodowoliberałów. Wogólności był to umysł, według zeznań, ukształcony, ale ekscentryczny.

Co do kongresu w sprawie wschodniej, zyskał on tak dalece na prawdopodobieństwie urzeczywistnienia się, że już mu nawet wyznaczono datę—13 czerwca. Między Rossyą i Anglią miał stanąć układ, który posłuży za podstawę późniejszego porozumienia, a tymczasem, przynajmniej ze strony obu tych państw usuwa wszelkie trudności, tamujące zebranie się kongresu. Układ ten nie dotyczy wcale interesów innych mocarstw, które mają otwarte pole strzeżenia praw swoich. Nie wiemy jednak, czy z nałogu, czy z uzasadnionej niewiary, mężowie stanu i dzienniki rwą półsłówkami mozolnie usnutą tkankę nadziei. Obok zapewnień, że długi spór niezawodnie się zakończy, słychać ciągłe ostrzeżenia, że do celu jeszcze bardzo daleko.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Niemiłą bardzo niespodzianką dla świata handlowego była otrzymana na początku tygodnia wiadomość o zamachu na życie cesarza niemieckiego. Wpływ ujemny tego faktu był tak silny, że paraliżował efekt tak dawno upragnionego kongresu, którego termin otwarcia stanowczo oznaczono na 13 b. m. Sprawozdania, odbierane z giełdy berlińskiej, były bardzo ponure. Obawiano się tam zbyt surowych środków ze strony rządu, mówiono nawet o zamiarze proklamowania stanu oblężenia. Trwożliwi kapitaliści, obawiając się smutnej przyszłości, sprzedawali swe papiery; nastąpiło ogólne zwątpienie, kontrastujące tak silnie z ożywieniem poprzedniego peryodu.

Naturalnie, że wobec ogólnego popłochu, nasza waluta również uledz musiała obniżce, a to do wysokości 3 marek. Za 100 rubli bowiem dają teraz w Berlinie tylko 207 marek. W naturalnem następstwie weksle na zagranicę podskoczyły u nas, a mianowicie marka do $48^3/_4$ kop., gulden do 84 kop., frank do 40 kop., półimperyał rs. 8 kop. 20 kop.

Słabnąca wartość rubla znakomicie podniosła kurs papierów publicznych polskich. Listy Zastawne nowe podskoczyły o 2% do 99, Listy Likwidacyjne do 86.75, Listy Zastawne m. Warszawy III-ciej seryi do 91.40; dwie pierwsze serye $92^1/_4$. Pożyczki premiowe obniżyły się do 235 i 230 rubli przy nieznacznych obrotach. Pożyczka Wschodnia bez zmiany, a mianowicie 95.25, 95, 94, względnie do sztuk. Wogóle ruch ograniczony i nieregularny, z cechą silnie spekulacyjną.

Usposobienie targu zbożowego bardzo zmienne chociaż ceny nakłaniają się wciąż ku zniżce. Z powodu święta żydowskiego ceny w dniu piątkowym nie były notowane.

DO WSZYSTKICH.

— *P. Iz. Szabl. w Moskwie.* Wyjeżdżając z Moskwy raczy nas Pan łaskawie zawiadomić o zmianie swego adresu.

— *P. Ad. Siw. w Połocku.* Listu Pańskiego dokładnie nie rozumiemy—co mamy przysłać za kop. 30?

— *P. Sawick. w Głębokiem.* Rs. dwa od p. J. U. otrzymaliśmy dnia 28 b. m.

— *P. Gierzyń. w Łasku.* Pan U. wniósł nam prenumeratę Pańską w d. 28 b. m., nadesłane nam zatem rs. 4 zapisujemy na kw. III i IV r. b. *Obowiązki Obywatela* wysyłamy. 30 kop. pozostaje do dyspozycyi.

— *P. Ot. Mick. w Sugatskiej.* Początek *Geografii* kosztować Pana będzie rs. 3 kop. 50 z przesyłką.

— *Dr. Mel. w Repkach.* Brakowało tylko do rocznej prenumeraty rs. 2, pozostaje zatem jeszcze rs. 2,—żądane zeszyty *Wojny* wysyłamy.

— *P. Władysł. w Charkowie.* Posyłka z książkami już wysłana.

— *P. Gust. Prusz. w Ilkowcach.* Adres zmieniony. Z *Wojny* pozostaje rs. 3 kop. 15, na co ich przeznaczyć? Arkusze posyłamy.

— *P. Konst. Jank. w Korytnie.* Rs. 2 kop. 20 wręczyliśmy p. A. Kowalskiemu d. 22 b. m.

— *Dr. Sztr. w Carskiem Siole. Panteon* wysłany, rs. 1 pozostaje do dyspozycyi.

— *P. Saw. w Szantyrowszczyznie.* Z ogólnie podanego tytułu nie możemy zgadnąć dzieła. Może Mosbacha *Początki Unii Lubelskiej*, Poznań 1872 (rs. 1 kop. 20)? Ta praca jest w naszych księgarniach.

— *P. E. Bukow. w Skalbmierzu.* Może Pan otrzymać za 75 kop. z przesyłką.

— *P. Kazim. Lewkow. w Rużanach.* Posyłka z dwoma tomami *Pism Zbigniewa* wysłana.

— *Dr. Smirn. w Brześciu Litewskim.* Tylko tyle—adres zmieniony do Bender.

— *P. Annie Kozłow. w Krasnem.* Adres już od dnia 16 maja zmieniony — czy Pani brakuje tych numerów czy nie, dojść z listu Jej nie możemy.

— *P. Piotr. w Przasnyszu.* Dwie pierwsze tablice do Geografii posyłamy Panu; powieści *Jack* wysłaliśmy ark. osiem czyli stron 128.

— *P. Dąbrow. w Temnikowie.* Z pieniędzy zrobiliśmy użytek jak Pan sobie życzył; *Obowiązki obywatela* i *O świecie* wysyłamy pod markami.

Nadesłano: *Na fundusz wsparcia studentów Nowoaleksandryj. Instyt. z dochodu za dzieło prof. Karpińskiego „O hodowli Ryb"*: Dirks z Wyszniego Wołoczka rs. 3, Górski z Aleksandrowska za siedm egzemplarzy rs. 10, Połubiński z Zenopola rs. 1 kop. 20.

— Nadesłano dla wdowy z Wilczej ulicy: z Lublina bezimiennie rs. 3, P. L. Dąbr. z Temnikowa rs. 1.—Sumę tę wręczyliśmy w dniu 7 b. m. Marcinkiewiczowej.

Do dzisiejszego numeru dla wszyst. prenum. dołącza się ark. Panteonu (Ziemia i jej mieszk. t. IV. ark. 10). oraz Prospekty na pismo Codzienne p. t. NOWINY i Dwutygodnik ZDROWIE.

Дозволено Цензурою, Варшава, 27 Мая 1878 г. — W drukarni Przeglądu Tygodniowego, ulica Czysta Nr. 2.— Redaktor i Wydawca Adam Wiślicki.